

Miłość bez kochanków

INGMAR BERGMAN

Ten scenariusz odrzuciło trzech nader skrupulatnych producentów. Ich motywacje zmieniały się, ale motyw przewodni był identyczny: z tego materiału nie sposób zrobić filmu. To byłoby kosztowne. To byłaby katastrofa. Samobójstwo.

Stopniowo zacząłem podzielać ich smętne zapatrywania i przekazałem mój scenariusz do archiwum. Niewykonalne wizje i marzenia.

Tak to wyglądało.

Sztokholm, 20 grudnia 1999

1

Wysoki, wąski drewniany dom płonie pośród zamieci. Bezbarwne niebo nad równiną. Zapada zmierzch. Jakiś mężczyzna wytacza się z domu, który częściowo zawala się. Próbuje ugasić ogień na swoim ubraniu, turlając się po śniegu. Krzyczy, ale nikt go nie słyszy.

Jakiś polityk udziela wywiadu telewizyjnego przed gmachem rządu. Otaczają go ochroniarze i żurnaliści. Używając enigmatycznych zwrotów, informuje o rychłej wizycie w położonym na uboczu pobliskim państwie.

Trwa ubój kwiczących prosiąt przy wtórze śmiechu rzeźników. Ziemia przed chlewem jest pokryta śniegiem, wydeptane w glinie ścieżki krzyżują się ze sobą.

Strumień świetlistej wody. Pomiędzy kamieniami na dnie falują i kołyszają się wodorosty. Pojawiają się duże i małe ryby, podobne do cieni. Chwyta je dziecięca dłoń.

Szybko przemykająca scena z jakiegoś filmu lub sfilmowanego spektaklu teatralnego. Dwie kobiety wymieniają pomiędzy sobą kilka słów, są zdenerwowane, lecz śmieją się. Przypatrują się komuś obok kamery, być może oglądają się w lustrze. Jedna z kobiet rozszerza lewe oko palcami i obraca żrenicą. Druga ściąga swoje duże wilgotne wargi i wysuwa koniuszek języka. Obie śmieją się znacząco.

Chudy, siedmioletni chłopiec stoi przy czarnej tablicy. Jest krótko ostrzyżony, prawie na zapalną, i ma na sobie marynarskie ubranko z krótkimi spodenkami. Niepewnie stawia duże litery: *Ich habe Gewesen*. Potem zwraca twarz w stronę kamery i zawstydzony szczyrzy zęby, brakuje mu przedniego zęba w górnej szczękę. Końcówka taśmy jest porysowana i nieostra.

W trakcie strumienia tych oderwanych od siebie obrazów (który trwa wiele minut) słyhać pomruki protestu i pojękujące westchnienia dotychczas niewidocznego widza. Po kilku końcowych sekwencjach, które pokazują wiec strajkowy zimą na odludnym nadbrzeżu, chwila nie udawanej pornografii z początku XX wieku oraz zebranie w jakimś podobnym do grobowca lokalu bankowym z udziałem ubranych na czarno panów – i film wypada z projektora, ekran staje się lśniaco biały, potem czerwony jak krew i na końcu czarny. Zapala się światło w sali projekcyjnej, staroświeckim, nieco podupadłym pomieszczeniu z ciemną dębową boazerią, burdelowymi kinkietami, prawdziwymi dywanami, skórzanymi fotelami i podartą kurtyną z czerwonego brokatu obszytą złotymi frędzlami. W ogromnym fotelu doktor Albert Kummer rozłożył swoją okazałą cielesną powłokę, opiera głowę o rękę jak w kościele. Białe dziecięce włosy z rzadka okalają jego wysokie ciemie.

Za panelem sterowniczym z roboczą lampą, kilkoma przyciskami i regulatorem głośności siedzi Anna Bergman z policzkiem opartym na dłoni. Ma ona z całą pewnością dwadzieścia pięć lat, nosi duże nowoczesne okulary i swoim wyglądem wzbudza zaufanie. Pod białym kitem ubrana jest w dość obcisły sweterek i eleganckie spodnie. Jej piękna twarz jest pozbawiona wyrazu, ale uprzejma.

Długie milczenie.

Albert Kummer: No tak.

Anna: Mamy dwieście trzydzieści sześć tysięcy czterysta osiemdziesiąt dziewięć metrów kopii roboczej w siedmiuset jeden rolkach. Wszystko czarno-białe, ponieważ z powodu oszczędności nie zrobiliśmy kopii barwnej. Negatyw co do metra zaginął.

Albert: Właśnie dzwoniłem na policję.

Anna: Nie ma żadnych śladów?

Albert: Marco również zaginął, tak samo jak jego negatyw. Policja uważa, że to kidnaping i szantaż.

Anna: A pan nie, doktorze Kummer?

Albert: (wściekły) Jakiż to cholerny idiota miałby się interesować negatywem filmu o wyłącznie archiwalnej wartości czy wykojejonym reżyserem. Zresztą firma ubezpieczeniowa już się odezwała. Otrzymam zwrot moich nakładów.

Anna: Gratuluję.

Albert: Dziękuję.

Doktor Kummer ciężko wzdycha, układa nogi na przystawionym do fotela oparciu, wsadza dłonie do kieszeni spodni i przybiera na poły leżącą pozycję.

Anna: Pan wzdycha, doktorze Kummer.

Albert: Nie wiem, co mi jest, panno Bergman.

Anna: Pani Bergman.

Albert: Pani Bergman. Dziwnie się czuję. Może chce mi się płakać. Nie wiem.

Anna: Pan lubił Marco, doktorze Kummer?

Albert: A pani nie, Anno Bergman?

Anna: Oczywiście.

Albert: Czy pani nie miała jakiegoś romansu z Marco? Dość długiego, o ile pamiętam.

Anna: Tak.

Albert: I niezmiernie burzliwego, co?

Anna: Tak.

Albert: Czy to nie było w trakcie tego filmu o Australii, który nigdy nie został ukończony? Pani była wtedy script girl?

Anna: Tak.

Albert: A pani sama co sądzi?

Anna: Przepraszam?

Albert: Co pani sama sądzi o zniknięciu Marco?

Anna: Uważam, że popełnił samobójstwo.

Albert: Gdyby to było tak dobrze.

Anna: Przepraszam.

Albert: Nie miałem na myśli nic złego. Załóżmy, panno Bergman, że składamy normalny film pełnometrażowy z jego dwustu tysięcy metrów.

Anna: Tak?

Albert: (ożywiony) Akurat będziemy mieli premierę i dzień wcześniej znajdują się zbutwiałe szczątki Marco Hoffmanna z listem pożegnalnym i tym wszystkim.

Anna: To oczywiście byłoby wspaniałe.

Albert: Cholerny Marco. (przygnębiony) Zawsze go kochałem jak ojciec. Mam na myśli jak brat. Chodzi mi o to, że zawsze byłem dla Marco jak starszy brat.

Albert Kummer wyciąga ręce z kieszeni spodni i wyskakuje z fotela nie bez pewnej zwinności. Chodzi w kółko przed kurtyną ze złotymi frędzlami, opanowuje się i patrzy na Annę.

Anna: Tak?

Albert: Dostała pani Oscara za montaż tego gównianego filmu, jak on się nazywał?

Anna: *Frog?*

Albert: Ma pani opinię wybitnej montażystki.

Anna: Dziękuję.

Albert: Jest pani w każdym razie piekielnie droga, panno Bergman.

Anna: Trudno mi powiedzieć.

Albert: Ukończy pani film Marco.

Anna: Ale nie ma żadnego scenariusza.

Albert: Oczywiście, że jest jakiś scenariusz, do jasnej cholery!

Anna: Tak, był jakiś scenariusz.

Albert: Ale?

Anna: Marco nie respektował scenariusza.

Albert: Improwizował?

Anna: Chyba można tak powiedzieć, delikatnie mówiąc.

Albert: Fantazjował?

Anna: Mniej więcej.

Albert: (pobladły) Nie ma żadnej sceny, która by pasowała?

Anna: Nie.

Albert: Z czego się pani śmieje?

Anna: Tylko spojrzałam na pana trochę uprzejmiej, doktorze Kummer. Tak rozpaczliwie pan wyglądał.

Albert Kummer prychnął i zapalił starą fajkę, która syczy. Anna zebrała papiery do jadłowicie zielonego skoroszytu, który przycisnęła do swoich dużych piersi.

Albert: Pani widziała te całe dwieście tysięcy metrów.

Anna: Tak.

Albert: Może wyjść z tego film?

Anna: Laboratorium uważa, że można zrobić nowy negatyw na materiale, który jest bardzo równo naekspozowany.

Albert: No.

Anna: Chętnie spróbuję.

Albert: To dobrze, to dobrze, moje dziecko. Zapłacę pani po królewsku. Nie będzie pani miała powodu do uskarżania się. Mogę o tym zapewnić, przysięgam.

Anna: Zrobię wszystko, co się da.

Albert: Czy mogę zaprosić panią na obiad, panno Bergman?

Anna: Tak, dziękuję.

Albert: U mnie w domu.

Anna: Nie wiem.

Albert: Droga pani, wcale nie jest tak, jak pani myśli. U mnie w domu rządzą moje siostry, Topsy i Polly. Będzie wspaniały obiad. Topsy jest mistrzynią kuchni, swoim dobrym jedzeniem morduje mnie powoli i lubieżnie. Mam ciśnienie trzysta dziesięć i pięćdziesiąt kilo nadwagi. Dostaniemy bliny z rumem i stek z zająca.

Doktor Kummer ma samochód, który w pełni odpowiada jego reputacji jako jednego z najbogatszych ludzi w tym bogatym kraju. Jest to kiepski stary opel, nie uprzątnięty jak pokój dziecięcy i śmierdzący kwaśnym dymem z fajki.

Albert: Kiedy jadę tym starym wozem, wydaje mi się, że oszukuję terrorystów. Przecież oni są tylko ludźmi i oczywiście nie przypuszczają, że bogaty człowiek jeździ takim gruchotem.

Anna: To bardzo sprytne.

Albert: No właśnie. Wie pani co, Anno Bergman. Lubię panią.

Anna: Ja też pana lubię, doktorze Kummer.

Albert: Może po prostu powinniśmy się pobrać?

Anna: W gruncie rzeczy nie byłby to taki głupi pomysł.

Albert: Proszę sobie nie żartować ze starego człowieka, panno Bergman. Do licha. Pani Bergman. Pani jest zamężna? Pani jest zamężna. Pani jest zamężna z panem Bergmanem.

Anna: Jasne, że jestem zamężna.

Albert: Od dawna?

Anna: Wystarczająco.

Albert: Szczęśliwie?

Anna: Bardzo szczęśliwie.

Albert: Dzieci?

Anna: Niestety, żadnych dzieci, nie.

Albert: A więc szczęśliwie?

Anna: Niezwykle szczęśliwie.

Albert: Tego nie rozumiem.

Anna: Czy zawsze trzeba wszystko rozumieć, doktorze Kummer?

Albert: Ja zawsze muszę wszystko rozumieć w najdrobniejszych detalach. Bo inaczej wariuję.

Anna: To dziwne. Nie wydaje się, aby pan miał niespokojne usposobienie.

Albert: Ale ja właśnie dokładnie taki jestem. Jestem najbardziej niespokojnym i tchórzliwym łajmem na świecie.

Anna: Czy mogę o coś pana zapytać, doktorze Kummer?

Albert: Dokładnie wiem, o co pani zamierza zapytać, panno Bergman. I jest to cholernie kłopotliwe pytanie. Chce pani dowiedzieć się, dlaczego wybrałem się w podróż na cały okres zdjęciowy filmu Marco.

Anna: Właśnie o to chciałam zapytać.

Albert: Byłem zakochany.

Anna: Ach tak.

Albert: Po raz pierwszy w moim siedemdziesięcioletnim życiu. Cha, cha, cha!

Anna: Dlaczego pan się tak śmieje?

Albert: Ona miała osiemnaście lat i była prostytutką. (śmieje się) Pojechaliśmy na Tahiti. Potem pojechaliśmy na Bora-Bora. A potem do Hannoveru. (śmieje się) Szef produkcji Marco dzwonił codziennie, ale ja nie chciałem z nim rozmawiać. Miałem gdzieś to arcydzieło, żyłem moją własną obłąkaną romantyczną inscenizacją. W kolorze i w formacie cinemascope, oczywiście! (śmieje się przeraźliwie)

Anna: Mam nadzieję, że to było warte zachodu i kosztów?

Albert: Anno, droga Anno, było wręcz za dobrze. (śmieje się)

Anna: Przepraszam, teraz nie rozumiem.

Albert: (przestaje się śmiać). Zmęczyłem się.

Anna: To prawda?

Albert: Ciągłe to samo młode dziewczęce ciało, te same małe piersi, te same długie chłopiące nogi, te same wąskie biodra, ta sama zazdrość, krzyk, płacz i pojednania. Zmęczyłem się. Cha, cha, cha, cha! Zmęczyłem się. (poważnie) Proszę wybaczyć mój cynizm. To oczywiście nie było takie proste.

Anna: Chyba mogę to sobie wyobrazić.

2

W montażowni panuje pedantyczny porządek i czystość. Siedemset pudełek z filmami stoi na baczność pod ścianami, dokładnie zaksięgowane i opisane. Na środku rozpościera się stół montażowy z założonym obrazem i dźwiękiem, głośnik emituje cichy warkot. Anna Bergman stoi przy otwartym oknie ubrana w czy-

sty biały fartuch, unosi swoją bladą z powodu zimy twarz w stronę grudniowego słońca i zamyka oczy, delektuje się papierosem, wypuszczając małe, krótkie kłęby dymu.

Wpada Albert Kummer, wiesz na drzwiach sportowe palto podbite futrem, rozgląda się wokół zadowolony.

Albert: Jak czysto i porządkie. Dzień dobry, panno Bergman, jak się pani miewa?

Anna: Dziękuję, znakomicie. A co u pana, doktorze Kummer?

Albert: Jestem cholernie zabiegany. Przepraszam za spóźnienie. Nie cierpię, kiedy trzeba na mnie czekać.

Siada na niewygodnym biurowym krześle i drapie się po głowie. Anna Bergman kończy palić papierosa, zamyka okno i zaciąga grube, ciemnozielone story. lampa na stole montażowym jest teraz jedynym źródłem światła.

Albert: Niech na panią popatrzę. Coś pani zrobiła z fryzurą?

Anna: Absolutnie nie.

Albert: Ależ tak.

Anna: Wczoraj wieczorem umyłam włosy. To dlatego są tylko trochę niesforne.

Albert: No tak. Tu jest mały prezent.

Anna: Dziękuję, to naprawdę bardzo miłe.

Albert: Nie wolno pani otwierać przed wyjściem do domu.

Anna: Obiecuję.

Albert: No i co?

Anna: W ciągu minionych trzech tygodni próbowałam znaleźć początek filmu. Ułożyłam kilka całości, które według mnie można sobie wyobrazić. To będzie jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt metrów.

Albert: Wspaniale. Naprawdę jestem ciekaw.

Anna: Nic nie próbowałam zrobić z dźwiękiem. To jest dość zawile.

Albert: No tak. I co?

Anna: Marco stosował metodę, której o ile mi wiadomo nigdy wcześniej nie praktykował.

Albert: To brzmi niepokojąco. (śmieje się przezornie)

Anna: Instruuje aktorów w trakcie gry. Jego głos raz po raz pojawia się na ścieżce dźwiękowej.

Albert: Oczywiście myślał, że film będzie postsynchronizowany. No tak, to przecież nie nadzwyczajnego.

Anna: Tak przypuszczam. Muszę też powiedzieć, że poczynił sobie bardzo niemethodycznie. Ale to pan sam odkryje, doktorze Kummer.

Albert: Najlepiej będzie, jeśli wystartujemy, zanim zemdleję ze strachu. (śmieje się, ale zaraz milknie)

Anna Bergman wprawia w ruch mechanizm stołu montażowego, stołowa lampa gaśnie automatycznie, tryby i taśma chrzęszczą łagodnie, mały ekranik rozświeca się:

Starsza pani siedzi w zbyt dużym łóżku i je śniadanie. Pokój jest piękny, umebłowany na jasno. Poranne słońce świeci przez wysokie okna, które wycho-

dzą na jesienny park. Obok łóżka stoi młoda kobieta, bardzo ciemna, o spokojnych i czystych rysach twarzy. Położyła kilka listów i gazet na stoliku w zasięgu ręki starszej pani.

Judith: Na lunchu będzie dwadzieścioro gości. Sekretarz premiera właśnie poinformował, że będzie obecna pani Bauer. Natomiast syn nie będzie mógł przyjść. Nadworny wokalista też przybędzie, rozmawiałam z nim wczoraj, miał katar, ale uważał, że powinien go zwalczyć.

Charlotte: Miło to usłyszeć.

Judith: Dalej, pani syn przysłał mi protokół z oględzin domu.

Charlotte: Ach tak.

Judith: Proszę wybaczyć, pani Egerman, ale to nie jest pocieszająca lektura.

Charlotte: Darujmy sobie detale.

Judith: Zamek wymaga gruntownego remontu. Ostatnie naprawy przeprowadzono w początku lat pięćdziesiątych i były one raczej doraźne z powodu powszechnego wówczas braku materiałów.

Charlotte: Pamiętam. Conrad był wściekły, a ja grałam lady Makbet.

Judith: Trzeba zerwać dach i założyć nowy.

Charlotte: Właśnie, przecieka.

Judith: Zachodnią basztę, która należy do najstarszej części domu, trzeba podeprzeć od wewnątrz, bo inaczej grozi ryzyko zawalenia się.

Charlotte: Droga panno Judith, może mogłaby pani nie używać tego okropnego biurowego języka: „istnieje ryzyko zawalenia się”.

Judith: To nie takie łatwe, pani Egerman, ale zrobię wszystko, co możliwe: a zatem kuchnia jest szkodliwa dla zdrowia, system odpływowy to dosłownie szambo i wszystkie przewody elektryczne grożą pożarem, ponadto podłoga w pomieszczeniach za teatrem przegniła, większość okien jest nieszczelna, a instalacja ciepła to czysta kpina. I ten biurokrata uważa również, że park jest zaniedbany.

Charlotte: (śmieje się) I to wszystko?

Judith: Skądże, mnóstwo innych rzeczy, wyliczyłam tylko to, co najważniejsze.

Charlotte: I co na to mój syn?

Judith: Inżynier uważał, że jego matka porządnie się uśmieje.

Charlotte: (śmieje się) Peter zna swoją starą matkę.

Anna Bergman zatrzymuje pokaz i lampa na stole montażowym natychmiast się zapala.

Albert: (entuzjastycznie) To była przecież naprawdę miła scenka.

Anna: Szkoda tylko, że nie ma zakończenia.

Albert: Powinno być więcej?

Anna: Przejście do następnego fragmentu jest bardzo raptowne.

Albert: Być może planował inną scenę epizodyczną.

Anna: To nie jest niemożliwe. Ale tej sceny nie mogłam znaleźć. (z niepokojem) A zresztą wszystko muszę przejrzeć po kolei. Bo inaczej powstanie chaos.

Albert: Ależ drogie dziecko, chyba nie zrobiło się pani przykro?

Anna: Nie, bynajmniej, ale ta praca mnie bulwersuje. (opanowuje się) Przepraszam.

Albert: (uprzejmie) Kontynuujemy, prawda?

Anna: To jasne, że można było wstawić scenę z Peterem i Katariną po Charlotte i jej sekretarce. (rozeźlona) To jest chaos. To wszystko razem.

Albert: Tak, też tak sędzę, ale jedziemy dalej.

Anna: Artystyczny nieład to tylko pycha i pretensje.

Albert: To było niesamowite, jak pani się gniewa.

Anna: To cały Marco. (śmieje się) Przepraszam.

Wprawia maszynę w ruch, nowy obraz pojawia się na ekraniku: ukazuje on panią Charlotte, która zasypia na wieki. Siedzi na pięknym krześle w swoim gabinecie. Świeci słońce. Szeleszczą liście ogromnych drzew za oknem. Mały stołowy zegar wahadłowy z pasterzem i kokieteryjną pasterką dzwoni melodyjnie.

Nagle Marco Hoffmann zaczyna rozmawiać z aktorką. Jest chyba dość blisko mikrofonu, jego głos jest sympatycznie swobodny. Starsza pani nie daje po sobie poznać, że otrzymuje instrukcję.

Marco: (z offu) I myślisz sobie, że jesteś małą dziewczynką, bawisz się w parku. Coraz częściej tuż przed zaśnięciem pogrążasz się w swoim wczesnym dzieciństwie. Jesteś absolutnie spokojna, pojawia się nawet drobny uśmiech.

Charlotte uśmiecha się z zamkniętymi oczyma. A ponieważ jest ona aktorką wielce utalentowaną, ten uśmiech staje się wieloznaczny.

Anna: To naprawdę mi przeszkadza, że Marco udziela wskazówek w trakcie zdjęć. I pomyśleć, że zużyto tak wiele taśmy.

Marco: (z offu) Spokojnie. Długo. Uwaga. Zaraz panoramujemy. Teraz panoramuj. Conrad, zrób mały krok, jakby niezdecydowany, dobrze.

Obraz przesuwają się od Charlotte, która oświetlona łagodnym słonecznym światłem drzemie na swoim dużym krześle, na Conrada, jej męża, starszego pana, nieco pochylonego, z siwymi włosami i delikatnymi rysami twarzy. Ubrany jest w znoszoną bonżurkę i na nogach ma dość słatygowane pantofle, nosi okulary z silnymi szklami. Teraz zrobił mały krok do przodu i w bok, światło słoneczne sięga jego starej twarzy z lekko przysłoniętymi dziecięcymi oczami i cienką brodą.

Conrad: Chyba nie przeszkadzam.

Charlotte: Nigdy w życiu nikomu nie przeszkadzałeś. Jestem zadowolona, że tu jesteś.

Conrad ostrożnie wysuwa się z cieni w głębi przy alkuwie i drepcie delikatnie po staroświecko skrzypiącym parkiecie.

Charlotte: Usiądź, najdroższy.

Conrad: Dziękuję.

Charlotte: Chcesz kawy?

Conrad: Dziękuję. Nie, dziękuję.

Charlotte bierze starszego pana za rękę.

Charlotte: Sporo czasu upłynęło od ostatniego razu.

Conrad: Miałś mnóstwo pracy.

Charlotte: Nie podoba ci się, że przygotowujemy to nasze małe przedstawienie teatralne.

Conrad: Nie, to nie tak.

Charlotte: Zawsze chciałam zagrać Prospera. Wiesz o tym.

Conrad: Zagrasz swojego Prospera.

Charlotte: Ale coś cię martwi?

Conrad: (z uśmiechem) Właśnie chciałem cię zapytać o to samo.

Charlotte: Ja miałabym się martwić? Nie, nie sądzę. Tak, kłopotów przysparza sprawa małżeństwa Petera i Katariny. Ale na to nic się nie poradzi.

Conrad: Nie. Tak. Oczywiście.

Charlotte: No?

Conrad: Co?

Charlotte: Czegoś ode mnie chcesz.

Conrad: Tak, ma się rozumieć.

Charlotte: Więc powiedz to teraz!

Conrad: Jutro o tej porze twoje życie się skończy.

Charlotte: Masz na myśli to, że umrę?

Conrad: Mam na myśli dokładnie to, co mówię: jutro o tej porze twoje życie tutaj na ziemi się skończy.

Charlotte napływają łzy do oczu, pochyla się głęboko i całuje starszego pana w rękę.

Charlotte: Dziękuję, mój drogi.

Conrad: Ja przecież nie wiedziałem, jak zareagujesz.

Charlotte: Jestem wdzięczna, jak widzisz. Jestem bezgranicznie wdzięczna. Dziękuję, najdroższy, mój najdroższy przyjacielu.

Anna włącza maszynę z suchym trzaskiem. Stołowa lampa natychmiast zapala się. Obraz gaśnie, dźwięk cichnie. Albert siedzi pochylony do przodu z rękami na kolanach i okularami opuszczonymi na nos. Patrzy zdziwiony na poirytowaną montażystkę.

Albert: To koniec?

Anna: Mam jeszcze jedną całość, ale na innej rolce. Tylko muszę założyć. To pójdzie szybko.

Szybkimi, nerwowymi ruchami zwija film i ścieżkę dźwiękową, otwiera pudełko i wyciąga dwie nowe rolki. Zakłada, synchronizuje, owija się białym fartuchem i siada na niewygodnym krześle.

Albert: Sądzę, że to jest bardzo wzruszające.

Anna: Ja tak nie uważam.

Albert: A co pani myśli, droga Anno?

Anna: Uważam, że to jest sentymentalne i nierealne.

Albert: Nierealne? Ona śni, że przychodzi jej mąż i mówi jej, że ona jutro umrze. To jest chyba piękne?

Anna: W każdym razie nie mnie to nie obchodzi.

Albert: (z uśmiechem) Kontynuujemy?

Anna: Oczywiście.

Obecnie Charlotte stoi na słabo oświetlonej, staroświeckiej scenie teatralnej. Ubrana jest w długi, prosty płaszcz, który swobodnie opada jej z ramion, jest nie usminkowana. W ręce trzyma różdżkę. W tle widnieje Judith z egzemplarzem roli. Obok aktorki stoi piękny młodzieniec, ma na sobie sweter i dzinsy i jest bosy.

Charlotte: Mój pradziadek, który ogromnie interesował się teatrem, zbudował ten teatr na początku XIX wieku, wydaje mi się, że to było w 1826. Obecnie ta część zamku nie jest już używana i nie ma tutaj nawet elektryczności. Oczywiście wszystko jest w złym stanie, ale chętnie tutaj przychodzę, aby posłuchać ciszy. Czy pomyślał pan, mój młody przyjacielu, jak pan się nazywa?

Valentin: Valentin. Valentin Fest.

Charlotte: Czy pan kiedykolwiek pomyślał, panie Fest, że w starym, porzuconym teatrze jest szczególny rodzaj ciszy?

Valentin: Tak, myślałem o tym.

Charlotte: Jeśli posłucha się bardzo uważnie, to cisza ta składa się z tysięcy głosów. Proszę pomyśleć o wszystkich wielkich i błahych uczuciach, które przepływały nad tymi szorstkimi, pochyłymi deskami scenicznymi. Śmiech, gniew, płacz, miłość, zemsta!

Valentin: Odczuwam to w taki sam sposób. To jest wszędzie, tam na górze w sznurowni czy na dole przy rampie, czy pod podłogą.

Charlotte: I tak mój teatr stał nie używany całymi latami. Teraz będziemy tutaj grali *Burzę* Szekspira. Czy to nie będzie zabawne?

Valentin: Proszę pozwolić mi powiedzieć coś istotnego, zanim zaczniemy próbę.

Charlotte: (z uśmiechem) Bardzo proszę, panie Fest.

Valentin: Kocham panią, to brzmi zupełnie nierozważnie, ale ja nie jestem ani szalony, ani egzaltowany. Kocham panią i proszę mi wybaczyć, że to mówię, tak bez żadnych formalności. Wielokrotnie pisałem do pani, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi od pani osobiście, jedynie kilka konwencjonalnych linijek od pani sekretarki. Pani Egerman, może potrafi pani sobie wyobrazić moją radość, kiedy nasz dyrektor teatru poinformował mnie, że nasz zespół będzie grał *Burzę* tutaj, u pani i że pani sama, Charlotte Egerman, będzie odtwarzała Prospera, a ja zagram Ariela. Mam teraz dwadzieścia dwa lata, pani Egerman! Przez całe moje świadome życie oglądałem panią w teatrze. Pierwszy raz, kiedy miałem osiem lat, wtedy grała pani Violę w *Wieczorze Trzech Króli*, natychmiast się zakochałem, potem widziałem panią we wszystkich wielkich rolach aż do wycofania się pani ze sceny cztery lata temu. Teraz powiedziałem to, co musiało zostać powie-

dziane. Wkrótce przyjdą moi koledzy, rozpocznie się próba i to będzie najwyższy czas, aby o wszystkim zapomnieć.

Judith wycofała się w mrok zalegający pomiędzy starymi dekoracjami i linami. Sama niewidoczna, śledzi tę dziwną scenę z nie słabnącą uwagą.

Charlotte wyciąga rękę w stronę młodego mężczyzny i lekko dotyka jego policzka.

Valentin: Teraz chcę, abyśmy się pocałowali.

Charlotte: (łagodnie) To chodź.

On robi krok w jej stronę i całuje ją w usta, bardzo lekko.

Valentin: Nikt nie ma piękniejszych ust.

Charlotte nagle całuje go namiętnie.

Anna zatrzymuje stół montażowy, podnosi się gwałtownie i zapala świetlówkę pod sufitem, potem podchodzi do okna, odsłania story, pokój napęlnia się silnym słonecznym blaskiem, zapala papierosa. Albert Kummer nadal siedzi przy stole i nabija jedną ze swoich kwaśnych fajek, którą następnie zapala z pewną trudnością.

Albert: Kilka tygodni temu zadzwonił mój stary przyjaciel Horst Wendtland. Właśnie dowiedział się o zaginięciu Marco.

Anna: Tak?

Albert: Dał mi nagrany na taśmie telewizyjny wywiad, którego Marco udzielił kilka tygodni wcześniej.

Anna: Nie słyszałam o nim.

Albert: Oczywiście, że nie. Uważano, że nie sposób go wyemitować. Nie można opublikować ani słowa. Leży u mnie w domu. Ma pani ochotę go obejrzeć?

Anna: Sądzi pan, że to jest ważne dla dalszej pracy, doktorze Kummer?

Albert: Nie, tak powiedzieć nie mogę. Ale –

Anna: Rozumiem.

Albert: Moja siostra Topsy ma wspaniały obiad na podorędziu. Od czasu swojego pobytu we Francji jest specjalistką od bouillabaisse. Czy nie poprawiłoby to nam samopoczucia, panno Bergman? Mam na myśli taki dzień jak dzisiaj, kiedy jest tak zimno, że trudno wytrzymać.

Anna: Nie wiem. Chyba nie mam czasu.

Albert: (potakuje) Chyba nie ma czasu? Nie, to jasne.

Wstaje od stołu montażowego, kwaśna fajka już zgasła, podchodzi do Anny, która stoi przy oknie, kładzie dużą, delikatną dłoń na jej ramieniu, zastanawia się jakiś czas, lekko się uśmiecha, potem poważnieje.

Albert: Wyciągnę świetne czerwone wino!

Siostry i mieszkanie doktora Kummera być może warte są krótkiego opisu. Siostra Polly ma około osiemdziesięciu lat i zaczęła dzieciństwo, z czym nie jest jej nie do twarzy. Przeważnie wygląda jak zabawne dziecko, które zostało zaczarowane lub zmienione nie do poznania, jej spojrzenie jest dostojne, ale nieco roztargnione, a ten miły uśmiech prosi w trochę dziwny sposób o wybaczenie, że ona już nie całkiem w pełni uczestniczy w rozgardiaszu i w znojach tego świata. Jej najlepszym przyjacielem jest z pewnością tłusty pudelek, z którym chętnie rozmawia. Topsy w odróżnieniu od Polly jest osobą bez przerwy zajęta. Ma osiemdziesiąt cztery lata, łagodnie różowe policzki i małe, wesołe, ale dość krótkowzroczne oczy. Jej pasją są kwiaty, dobre jedzenie i astronomia. Obie siostry są niezamężne. Poświęciły swoje życie na służenie doktorowi Kummerowi, co Albert odwzajemnia wielką braterską troskliwością. Mieszkają w przestronnym mieszkaniu w staroświecko zadbanej kamienicy, zwróconej w stronę trójkątnego otwartego placu pozbawionego ruchu. Pokoje są duże i jasne, urządzone z rodzajem niezmiernie dobrego gustu.

Trwa konsumowanie francuskiej zupy Topsy, picie mocnego wina Alberta i słuchanie wykładu Topsy.

Topsy: Odkryto wielką dziurę w kosmosie. Gwiazdy, planety i całe galaktyki uległy eksplozji i takiej kondensacji, że materia nabrała niewiarygodnego ciężaru właściwego.

Polly: (do swojego pudła) Wydaje mi się, że mój mały Teddy nie czuje się dobrze. Nie ma apetytu i wygląda na zmęczonego i ospałego.

Albert: Jeśli potrzymasz go trochę na diecie odchudzającej, to poczuje się o wiele lepiej.

Topsy: Czarna dziura w kosmosie, która wsysa w siebie wszystko, co znajduje się w pobliżu, w odległości mniejszej niż pięćset lat świetlnych. Gdyby Ziemię wrzucono w taką dziurę, przestalibyśmy się kręcić i w kilka sekund cały nasz glob uległby kondensacji i przemienił się w piłkę, która byłaby nie większa od melona.

Polly: (chichocząc) Wtedy stałbyś się zupełnie małą, Teddy!

Topsy: (nie pozwala sobie przerywać) Istnieją obliczenia, zgodnie z którymi mamy wielkie szanse w ciągu najbliższych dwustu dwudziestu milionów lat trafić w taką dziurę. Czy panna Bergman chciałaby jeszcze zupy? Na deser zrobiłam dość udany sernik.

Anna: Nie, dziękuję, naprawdę jestem syta.

Polly: Teddy od dwóch dni nie robił kupki. Albercie, czy nie uważasz, że powinniśmy zabrać go do weterynarza?

Albert: Jeśli chcesz, mogę zadzwonić do doktora Solomona.

Polly: Ale on nie jest chirurgiem?

Albert: Oczywiście, że nie, cieszy się światową sławą i z pewnością powinien wiedzieć, co dolega Teddy'emu.

Anna chce pomóc w posprzątaniu ze stołu, ale siostry żywo protestują i zmuszają ją do pozostania na miejscu. Kiedy obie damy przez chwilę buszują w kuchni, Albert pochyła się ku Annie i mówi do niej z czułością.

Albert: Pewien mój przyjaciel powiedział: *Nie jest najważniejsze być kochanym. Najważniejsze jest móc kochać samemu.*

Anna: Tak powiedział?

Albert: Tak, tak powiedział, proszę sobie wyobrazić!

W tym momencie obie siostry i pudel jak burza wpadają z sernikiem.

3

Po obiedzie Albert wymawia się pracą i prosi Annę, aby poszła za nim do jego gabinetu, gdzie ściany są zakryte aż po sufit regałami książek. Na środku podłogi stoi okazałe biurko. Przy kominku skupia się wytworna gromada sof i foteli. Wszystko jest wytarte, zużyte i zadbane. Jeden, zgodny z otoczeniem, niepokazny aparat telewizyjny kryje się pokornie w rogu i jest połączony z wyjątkowo skomplikowanym magnetowidem. Polly podaje wino i oddala się. Tłusty pies odnajduje swoje ulubione miejsce na jagnięcej skórze pod biurkiem. Albert zapala piankową fajkę, która roztacza miły zapach, w kominku płonie ogień, deszcz bije o duże okna i Anna pogrąża się w przyjemnym poczuciu nie-rzeczywistości.

Albert: (wskazuje na magnetowid) Proszę nie myśleć, że ja mam to mechaniczne monstrum na stałe. Pożyczyłem go tylko od mojego przyjaciela Horsta Wendlandta, aby móc pani pokazać telewizyjny wywiad z Marco. Teraz zobaczę, czy sobie z tym poradzę, dokładnie poinstruowałem się, jak to się robi, ale jestem cymbałem, jeśli chodzi o udogodnienia techniczne. No, to ci dopiero, cholera jasna! Przecież ten chłopak tam siedzi!

I rzeczywiście. Obraz zapala się, przez chwilę skacze, ale wkrótce stabilizuje się i ukazuje Marco Hoffmanna w atelier filmowym. Dekoracja przedstawia salę konferencyjną w jakimś urzędzie, wszystko jest bardzo schludne i nowoczesne, w dyskretnej gamie szarości. Ustawienie świateł dokonuje się za plecami reżysera. Kamera telewizyjna jest przez cały czas zwrócona w stronę Marco – niskiego, barczystego mężczyzny o szpakowatych, krótko ostrzyżonych włosach, intensywnym, błękitnym spojrzeniu spoza silnych szkieł, krótkim, wydatnym nosie, szerokich ustach i czworokątnym, wystającym podbródku. Jest schludnie i snobistycznie ubrany w elegancką skórzaną marynarkę, kolorową koszulę z krawatem, odprasowane spodnie zgodne z ostatnią modą i wyczyszczone miękkie buty na nieco podwyższonym obcasie. W czasie trwania wywiadu bez przerwy pali. Jego rozmówca nigdy się nie pokazuje, ale z pewnością jest płci żeńskiej.

Dziennikarka: A więc to jest Marco Hoffmann, którego znamy z powstałych w ostatnich latach wielu wielkich filmów rozrywkowych, jak na przykład *Miraże*, *Biała ściana*, *Sukces*, *Anna Karenina*, aby wymienić tylko kilka z jego siedemdziesięciu czterech filmów. Pracuje nad wielkim projektem, który nazywa *Miłość bez kochanków*. Skąd ten dziwny tytuł, panie Hoffmann?

Marco: To jest jakaś konwencja, że film czy książka muszą się jakoś nazywać. Znalazłem tę kombinację słów w *Straconych złudzeniach* Balzaka.

Dziennikarka: Więc ten tytuł nie ma nic wspólnego z filmem?

Marco: Może ma. Tylko nie wiem, co.

Dziennikarka: Akcja filmu jest otoczona wielką tajemnicą. Wszyscy, których o to pytam, potrzęsają głowami i mówią, że nie wiedzą.

Marco: Zgadza się. Ten, kto ją zdradzi, będzie zwolniony.

Dziennikarka: Nie do wiary, panie Hoffmann. Jest pan dyktatorem?

Marco: Tak jest. Jestem dyktatorem. W tej pracy nie ma ani cienia demokracji, o której tyle się dyskutuje. Wiele moich decyzji jest niewiarygodnie niepopularnych i prawdopodobnie większość uważa mnie za szalonego sadystę. Rezygnuję z bycia lubianym. Zresztą byłaby to tylko kokieteria, a poza tym to zabiera czas.

Dziennikarka: Więc nie chce pan skomentować pańskiego filmu z jakiegoś jednego punktu widzenia.

Marco: Niech pani posłucha, jak się tam Mrs nazywa.

Dziennikarka: PITT. Wendy Pitt.

Marco: (patrzy na nią niegrzecznie i bezczelnie) Ach tak! To pani?

Dziennikarka: (z lekkim śmiechem) To ja.

Marco: Bardzo interesujące. To przecież pani była oficerem w angielskiej flocie, a potem dała się zoperować. Czy się pomyliłem? Pani jest właśnie tą Mrs Pitt *alias* Davidem Howardem?

Dziennikarka: Nie mieliśmy rozmawiać o mnie.

Marco: (pochyliła się do przodu) Nasz wydział prasowy poinformował mnie, że pani jest ważna, że ten wywiad jest istotny. Od pierwszego wejścia nie przypadliśmy sobie do gustu Mr-Mrs Howard-Pitt. Istnieją tylko dwa wyjścia: jedno, przyzwoite, że pani natychmiast zakończy tę śmieszłą rozmowę i drugie, bardziej fantazyjne, że rozmawiany dalej, ale dajemy sobie spokój z tym społecznym teatrem. Do pani należy decyzja.

Dziennikarka: Nie mam żadnego wyboru, panie Goebbels. Mój zlecciodawca byłby dość rozczerowany, gdybym mu doniosła, że ten wywiad szlag trafił. Ja w odróżnieniu od pana jestem uzależniona od moich dochodów.

Marco: Doprowadzi mnie pani do płaczu, Mrs Pitt.

Dziennikarka: (wesoło) No to znowu zaczynamy od początku: A więc to jest Marco Hoffmann, pisarz i filmowiec, którego znamy z wielu powstałych w ostatnich latach filmów rozrywkowych. Teraz pracuje nad projektem, który z jakiegoś powodu nazywa *Miłość bez kochanków*. Z tego, co słyszałam od jego współpracownika, w tym filmie podobno będzie chodziło o polityczne zabójstwo.

Marco: Ojej!

Dziennikarka: Marco Hoffmann i polityka, czy to nie jest dość niezwykła kombinacja?

Marco: Przez całe życie byłem politycznie aktywny. Jako dziecko byłem dość wybitnym politykiem, ponieważ chodziło o uzyskanie korzyści od groźnych potentatów, którzy otaczali mnie ze wszystkich stron. Byłem zręcznym pragmatykiem, który byłby chlubą jakiegokolwiek socjaldemokracji. Chce pani słuchać dalej, czy też męczę panią, cały czas skubie pani rzęsy, są prawdziwe czy przyklejone?

Dziennikarka: Zwykł pan ze źle skrywaną kokieterią chwalić się pańskim podziwem dla Hitlera. To prawda?

Marco: Miałem piętnaście lat i uwielbiałem Hitlera. Uważałem, że narodowy socjalizm był wybawieniem dla rozkładającego się świata Zachodu. Wstąpiłem

do Hitlerjugend, a ponieważ byłem szczególnie oddany, wybrano mnie do służb specjalnych. Chodziło tam o tę niezwykle podniecającą robotę łojenia skóry ustepliwym Żydom i rozbijania ich skromnych sklepików. Kiedy wybuchła wojna, zostałem operatorem na froncie, nie twierdzę, że jakimś wybitnym operatorem, wręcz przeciwnie. Ale przeżyłem i kiedy alianci okupowali kraj, pewnego dnia stałem i filmowałem żywe trupy w Dachau. To było dość dziwne, ale moja dobra angielszczyzna uratowała mnie z opresji. (zapala papierosa) Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata. Byłem całkowicie zagubiony. Ale nie podobало mi się to, więc zwróciłem się do Boga i stałem się gorliwym wyznawcą, zanosilem modlitwy, dręczyłem się z rozkoszą i czułem się nieźle. Dokładnie nie pamiętam, kiedy nastąpił mój kryzys religijny, ale wydaje mi się, że wiązał się on z jakąś historią miłosną. Zostałem komunistą, to naprawdę było dość modne w tamtym okresie. Na krótko byłem zakochany w Kennedym, ale to oczywiście przeszło, kiedy zaatakował Kubę. Więc przerzuciłem się na Mao, a jednocześnie przebiegły księżulek naklonił mnie do przejścia na katolicyzm. Teraz moje szczęście było pełne. Ja i moja matka (która jest Włoszką) przeprowadziliśmy się do Rzymu. Tam zrobiłem cały szereg społecznie zaangażowanych filmów, odniosłem wielki sukces i zarobiłem ciężkie pieniądze. Pojechałem do Chin i spotkałem się z przewodniczącym Mao. Byłem przyjęty na audiencji przez Jego Świątobliwość papieża, padłem na kolana i pocałowałem jego pierścionki. O tak, to był szczęśliwy okres, wie pani, Mrs Pitt. Wszystko grało i kołysałem się bezpiecznie jak w hamaku zawieszonym pomiędzy dwoma dębami. Pani się uśmiecha tak sarkastycznie, przepraszam, że zapytam, goli się pani codziennie? Teraz jest pani ciekawa, czy nie jestem pijany. Oczywiście, że jestem pijany, bo inaczej nie powiedziałbym ani słowa. A więc piję w pracy. Właśnie, Mrs Pitt-Howard. Często się zdarza, że tak się upijam, że mówię to, co myślę. Poza tym, kiedy jestem pijany, myślę o wiele jaśniej.

Dziennikarka: Ja już się nie golę. Ale pierwszy okres po operacji był trudny, jeśli chce pan wiedzieć. Miałam powody do częstego płaczu z powodu braku ludzkiego tactu.

Marco: Przepraszam, ale czy nie odbiegliśmy od tematu? Pamiętam, że zatrzymaliśmy się przy mojej politycznej biografii.

Dziennikarka: Przepraszam, Mr Hoffmann, ale pytał pan, czy ja się nadal golę.

Marco: Czy naprawdę uważa pani, że widzowie interesują się pani kosmetycznymi i hormonalnymi kłopotami? (zapala papierosa) Teraz skłoniłem panią do płaczu. To nadzwyczaj satysfakcjonujące. (siedzi w milczeniu, podczas gdy dziennikarka szlocha)

Dziennikarka: Czy nie ma nikogo, kto mógłby na chwilę wyłączyć kamerę?

Marco: (podnosi lusterko przed dziennikarką) Tusz do powiek spływa, wygląda to żałośnie, płacze pani, Mrs Pitt, bo byłem złośliwy, czy też dlatego, że pani życie jest dziwaczne? Czy to rzeczywiście lepiej jest zestarzeć się jako stara porzucona dama w bezlitosnym zawodzie aniżeli hodować róże we własnym ogrodzie jako emerytowany pułkownik angielskiej floty?

Dziennikarka: (opanowuje się) Niech pan będzie tak miły i odłóż to lusterko, Mr Hoffmann. Kontynuujemy ten wywiad, nie, nie wyłączaj, niech taśma idzie. Tę i zaczynam tutaj: Więc wyrzekł się pan katolicyzmu i wystąpił z partii.

Marco: (z uśmiechem) Zmęczyłem się, wkroczyłem w średni wiek, ideały zmalały i wizje zgasły. Nadeszła pora złożenia hołdu proklamacji szarych kom-

promisów! Zrozumiałem, że socjademokracja to było przekonanie dla znudzonych idealistów. Najskrystszy sednem socjaldemokracji jest w istocie rzeczy cyniczna, głęboka, naturalna pogarda dla człowieka, to jest skrojona na miarę religia materializmu i kapitalizmu. Mauzoleum wszelkich wizji. To wielki sen.

Dziennikarka: To było tragiczne zakończenie, Mr Hoffmann.

Marco: To nie było żadne zakończenie, Mrs Pitt. Zdolność człowieka do przeżywania katastrof jest niepojęta.

Dziennikarka: Wydaje się pan bezgranicznie poirytowany, Mr Hoffmann.

Marco: Jestem opanowany wściekły, to jest mój sposób na życie. Mam proste sposoby komunikowania mojego szału. Chcę rozbijać, niszczyć – mordować.

Dziennikarka: Czy to jest jakiś szczególny –

Marco: Mówi się o nalogowym przestępcy, kryminalnych skłonnościach. dziedzicznie aspołecznym zachowaniu. Ciekaw jestem, jakież to mutacje, jakie perwersje natury tworzą człowieka władzy, polityka. Gdyby ludzie pojmowali to oszustwo, na jakie w każdej chwili są wystawieni, to o wiele staranniej zabijaliby swoich polityków i niszczyliby swoje społeczeństwa.

Dziennikarka: Kokietuje pan swoim anarchizmem w absolutnie zachwycający sposób, Mr Hoffmann. Naprawdę trochę trudno brać pana serio.

Marco: Ja też sobie tego nie życzę. Ja przecież mówię tylko o uczuciach, prawda? Nigdy nie oceniałem zbyt wysoko moich zdolności intelektualnych i moich możliwości werbalizowania swoich emocji. Zresztą zawsze coś stoi na przeszkodzie.

Dziennikarka: Co pan ma na myśli, Mr Hoffmann?

Marco: (zapala papierosa) Powiem pani, Mrs Pitt, mimo że w żaden sposób nie zasłużyła pani na moje zaufanie. Kiedy moja wściekłość osiąga zadowalający punkt i jestem gotów popełnić ten rozstrzygający, od dawna zaplanowany i utęskniony akt przemocy, tak, wtedy zawsze coś staje mi na przeszkodzie. Coś albo raczej ktoś! Nagle stoi tam jakiś głupi, miły diabeł i zajmuje się swoimi różami, rozwiązuje je, przycina je i pielęgnuje ubrudzonymi ziemią, delikatnymi rękami. I wtedy ja tracę kontenans. Albo też gruba, łagodna kobieta pochyla się nad swoim płaczącym wnuczęciem, podnosi je w dużych miękkich rękach i pociesza niezrozumiałymi, tklivymi słowami. I wtedy ja tracę kontenans. Czy też stoi sobie kilku biednych, wychudzonych chłopców ze zmierzwionymi włosami i przyszczatymi twarzami i wykrzykują obsceniczne plugastwa za przechodzącymi paniami z obrażonym wyrazem twarzy. Wtedy kompletnie tracę kontenans. Mrs Pitt. Pytała pani przed chwilą, gdzie ten film się rozgrywa. Nie wiem, skąd do cholery miałbym to wiedzieć. Być może rozgrywa się on bardzo głęboko wewnątrz mojej nienawiści, którą zaludniają szaleńcy i rabusie. Skąd mam wiedzieć? W moim wnętrzu, w pani wnętrzu, Mrs Pitt, lub w chaotycznym życiu emocjonalnym widza. Nie wiem. Kłamstwa, oszukiwanie, okrucieństwo i intrygi mają miejsce wszędzie. Ten, kto się zorientuje, może przecież krzyżeć, ten, kto czuje się skrzywdzony, może chyba oddać. Zapytałem kiedyś pewną wysłużoną kurwę, dlaczego uprawia swój żalosny proceder. Odpowiedziała szczerze, że kurwi się, ponieważ lubi to i daje jej to możliwość jako tako wygodnego życia, mogła zapewnić sobie pewien niewyszukany komfort. Odpowiadam dokładnie tak samo jak ona. Dlaczego miałbym kochać moich klientów, czy jak to się nazywa „moją publiczność”? Oni mnie poszukują, a ja im dostarczam coś, czego

potrzebują. Jeśli nie mam czegoś przydatnego, to w najlepszym razie daję im kompletnego diabła, który jest we mnie. W najgorszym razie zostaję pobity i zhańbiony na ciele i duszy. To takie proste, moja droga Mrs Dziwna. Proszę mi powiedzieć, czy naprawdę można usunąć płaszka i zastąpić go damską szparką? Gdyby pani nie była dla mnie tak bezgranicznie obrzydliwa, to poprosiłbym panią o zdjęcie kiecki i odsłonięcie tego cudu. Wprawdzie wszystko co ludzkie jest mi obce, ale jestem niepohamowanie ciekawy. Co to ja chciałem powiedzieć? Mój stary profesor, którego szanowałem, twierdził, że wszelka sztuka, która nie wiąże się z miłością, jest bezwartościowa i ja zgadzam się z nim. Czy pani w to wierzy, czy nie, mój święty Mikołaju, to ja kocham hodowców róż, stare matki, zagubionych andrusów, krawców, cyrkowców, mistrzów kominiareskich, niedzielnych wędkarzy – nie, nie mogę tutaj siedzieć i wyliczać wszystkich, których kocham. Szczerze mówiąc, czasami marzę o robieniu filmów dla tych ludzi, ale częściowo dają oni sobie radę bez moich miłosnych zapewnień, a częściowo nie wiem, czego oni sobie życzą. Bajek o miłości, być może filmów z kwiatami, zwierzętami, wieczornym niebem i poświętą księżycą. Łagodne serce i prawdziwa mądrość? Nie, robię moje filmy dla siebie samego i dla mojego utrzymania. Pewnego dnia, kiedy już nie będę opłacalny, wyrzucą mnie. Chcę uprzedzić tę chwilę, samemu zabrać swój kapelusz i na własnych nogach wyjść z tej świątyni. I postąpię tak bez goryczy. Życie jest wspaniałym świętem, a ja jestem zapalonym organizatorem uroczystości i wygłodniałym gościem. Ład ludzkiego świata jest wyraźnie wielkim bezładem, Bóg to urządził w doskonały sposób, musi to pani przyznać, Mrs Niewiarygodna, zwłaszcza pani musi się z tym zgodzić. Bóg to wszystko wymyślił, wysoko u góry i poza wszelką ludzką przemądrzałością. Oczywiście wierzę w Boga, boga, bogów, to, co boskie, nie innego nie wchodzi w grę, przecież ja sam jestem bogiem, chociaż w skromnej skali, układam i buduję uniwersum, którym władam w najdrobniejszych szczegółach, tworzę ludzi i ich warunki, niszczę i tworzę bez potrzeby składania rachunku. Uśmiecha się pani ironicznie, madame la Journaliste. Wiem, o czym pani myśli. Cała ta romantyka horroru, te wszystkie brednie, te wszystkie pretensjonalne rekwizyty wokół artysty i jego dzieła. Pozwalam pani tak myśleć, madame la Formillone! Pani przecież nawet nie wie, o czym ja mówię. Pani nigdy –

Tutaj magnetowid zatrzymuje się, jakby był wyczerpany tą autoadoracją i obraz gaśnie. Marco Hoffmann i jego osobliwa partnerka zniknęli równie bez śladu, jakby ich nigdy nie było w tym dużym, cichym pokoju.

Anna poszukuje papierosa w swojej torebce, gniewnymi ruchami grzebie na oślep, zwraca w stronę Alberta wzburzoną twarz.

Anna: Czy mogę prosić o papierosa, nie mogę znaleźć własnych. Prawdopodobnie zostawiłam je w montażowni.

Albert: (przysuwa srebrne pudełko) Dla gości!

Anna: Dziękuję.

Albert: Pani wygląda na zdenerwowaną, panno Bergman.

Anna: Nie jestem ani smutna, ani zdenerwowana. Jestem wściekła.

Wskazuje drżącym palcem na zamilkły aparat telewizyjny.

Albert: Tak?

Anna: Nigdy nie słyszałam tak idiotycznych, tak śmiesznie idiotycznych – bredni. Co jemu się wydaje, że kim on jest?

Albert: Bogiem, oczywiście.

Anna: Uważam, że należałoby wyemitować ten wywiad. Na cały świat! Wszędzie. Na Grenlandii. Na Saharze. Na biegunie południowym. W Szwecji. Na Kubie. Wszędzie powinno się pokazać tego mężczyznę i jego zarozumiałe, zadowolone z siebie, śmieszne, pretensjonalne, idiotyczne, obłąkane, infantylne, głupie, zatruwające – on jest niemądry, on jest kompletnie szalony. Powinno się go pokazać i potem ktoś powinien powiedzieć: Tak to wygląda!

Albert: Więc jak? Jak to wygląda?

Anna: Nie wiem. Tak to wygląda, kiedy jakiś człowiek, czy jak to nazwać, utracił wszelkie proporcje samego siebie, rzeczywistości, środowiska i bliźnich. Przekłety idiota. Ma szczęście, że nie jestem szefową tej telewizji.

Wskazuje raz jeszcze na zamilkły aparat telewizyjny. Albert nalał wina sobie i swojemu gościowi.

Albert: (uśmiecha się) To chyba szczęście, tak.

Anna: Kiedy oglądałam ten wywiad, to myślałam sobie: „Ani dnia dłużej”. (pije wino)

Albert: Przepraszam?

Anna: Ani dnia dłużej nie będę siedziała z jego przekłętymi dwustoma tysiącami metrów i próbowała zaprowadzić ładu w jego kapryсах i fantazjach. Takiego człowieka powinno się ignorować. To jedyne wyjście.

Albert: Przed chwilą przecież pani powiedziała, że należałoby nadać ten wywiad na cały świat.

Anna: (znowu wskazuje palcem) Lubiłam go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Litowałam się nad nim, kiedy był chory, gotowałam mu, cerowałam mu skarpetki i prałam jego koszule. Rozmawiałam z nim dniami i nocami, słuchałam go, lubiłam go bez względu na jego zachowanie. Bił mnie i był w łóżku ze mną, mówił, że mnie kocha i zdradzał mnie, okłamywał mnie i był zazdrosny jak wariat, a ja mu wybaczałam, upijał się razem ze swoimi przystojnymi kumplami pedałami i ja to też rozumiałam. Mówił, że mnie kocha i chyba kochał na swój dziwny, egoistyczny, obojętny sposób, i ja go lubiłam, nigdy nie przestałam go lubić, jest on czymś najlepszym, co mi się przytrafiło w życiu. Ale kiedy go widzę, kiedy tam siedzi jak zadzierający nosa, złośliwy smarkacz i ubliża, upokarza tego biednego, steranego człowieka, który ma dla osłony tylko swój niedbały żargon, wtedy robi mi się tak smutno, że chcę umrzeć i myślę sobie, że ja nigdy więcej nie chcę denerwować się jego przekłętym filmem, sądzę, że zaakceptujemy propozycję firmy ubezpieczeniowej, doktorze Kummer. Jest ona wspaniałomyślna, jeśli wziąć pod uwagę to gówno, za które pan zapłacił. A potem poproszę firmę transportową, aby zaopiekowała się tymi siedmiuset pudelkami i możliwie jak najprędzej zawiozła je na wysypisko śmieci. Ten mężczyzna (ponownie wskazuje na niewinny telewizor), ten mężczyzna dostał

całą miłość na świecie i odpowiada okrucieństwem, egoizmem i nienawiścią. Artysta musi wziąć odpowiedzialność, doktorze Kummer, ale ten artysta jest moralną katastrofą.

4

Kilka tygodni później.

Osobliwy świat otwiera się na poplamionym ekranie sali projekcyjnej. Obraz przedstawia jakiś lokal, w którym szesnaście dziewcząt po kolei rozbiera się do naga od godziny szóstej rano do godziny czwartej w nocy. W pomieszczeniu o kształcie podkowy, silnie oświetlonym różnobarwnymi reflektorami, ściany są pokryte tanimi materiałami, przesadnie dużymi wachlarzami, pornograficznymi malowidłami, bezsensownymi kijami bambusowymi i zwisającymi roślinami doniczkowymi. Dach składa się z wielkiego okna, które częściowo jest zakryte niechlujnie pomalowanymi drewnianymi płytami, podłoga jest wyłożona grubym poplamionym dywanem i workowatymi, niekształtnymi poduszkami. Dwa głośniki hębną najnowszy przebój. Widzowie znajdują się w małych celkach, które otaczają scenę. Przez małe okienka mogą obserwować zachowania dziewcząt. Po minucie i czterdziestu sekundach spada klapka i zakrywa okienko. Wtedy klient musi wrzucić monetę do automatu, przytwierdzonego tuż pod judaszem w jego celu. Wówczas okienko otwiera się na następną minutę i czterdzieści sekund. Kabina widza jest hermetycznie oddzielona od sceny i przestrzeni występów. Przed drzwiami na scenę siedzi tłusty facet w czapce z daszkiem. U jego nóg śpi owczarek. W wyłożonej posadzką sieni, w której są schody prowadzące w dół, siedzi starsza kobieta o wyblakłych oczach, uczesana z przedziałkiem, otulona w wytarte, niegdyś eleganckie futro z lisa. Oprócz biletów kobieta sprzedaje zdjęcia występujących dziewczyn, pisma pornograficzne i zabawki erotyczne. Pali jednego papirusa za drugim.

Pomieszczenie dziewcząt za zamkniętymi drzwiami jest nieco ograniczone. Korytarz prowadzi ze sceny do wspólnej charakteryzatorni, która jest ostro oświetlona i przegrzana przez pojedyncze elektryczne kaloryfery przytwierdzone wzdłuż ścian pozbawionych okien. Za charakteryzatornią znajduje się czworokątny salon z kilkoma nieporęcznymi fotelami i sofami w różnych stylach. Na podłodze tania wykładzina dywanowa, która wcześniej leżała na innej podłodze. W rogu stoi telewizor, którego nigdy się nie wyłącza. Gazety i tygodniki, przepełnione popielniczki, filiżanki po kawie i resztki jedzenia w plastikowych opakowaniach wypełniają dwa stoliki. Pod betonowym dachem jest nisko i dwie świetlówki nie rzucają żadnych cieni. Po lewej i prawej stronie korytarza jest kilkoro drzwi do mniejszych pokoi, z których dziewczyny korzystają, kiedy mają dłuższe przerwy lub kiedy wykonują drugą część swojego zawodu. W krótkim poprzecznym korytarzyku znajduje się po jednej stronie umywalnia i ustęp oraz nader ubogo wyposażony kantorek (w którym na dobrą sprawę mieści się tylko biurko, półka i dwa krzesła). W korytarzu świetlówka i głośnik, który rozbrzmiewa tą samą muzyką co ta na scenie. Przy wejściu na scenę stoją dwa magnetofony i pulpit do sterowania reflektorami, ale wydaje się, że obsługa w ramach racjonalizacji pracy została usunięta. Prywatne pokoje są do siebie podobne jak cele

więzienne. Na środku podłogi pokrytej wykładziną dywanową stoi stosunkowo duże łóżko. Przy jednej ze ścian stoi wąska komoda czy szafa, przy drugiej umywalka i bidet.

Na pierwszy rzut oka można powiedzieć, że pierwotnym zamiarem było urządzenie i prowadzenie wysokiej klasy burdelu, ale z różnych powodów interes nie szedł tak jak to sobie wyobrażano i pomieszczenia mogły podupuć.

A więc dziewcząt jest szesnaście, w różnym wieku i z różnym doświadczeniem zawodowym, są one w zadziwiająco dobrej kondycji mimo wyczerpującego zatrudnienia. Niektóre z nich są nawet ładne.

Minęła trzecia w nocy. Kilku klientów zatrzymuje się przy niepokątnym barze w sieni. Obsługuje ich gruba dziewczyna, obnażona do pasa, o nadgorliwych ruchach gospodyni.

Peter Egerman stoi w kącie z rękami głęboko w kieszeniach zielonego zimowego płaszcza. Ma wilgotne czoło i na jego ciemnych włosach widać płatki śniegu. Portier z kudłatym owczarkiem przechodzi wąskim przejściem przed kabinami i otwiera drzwi. Głośniki bębnią i towarzystwo przy barze zachowuje się dość hałaśliwe. Kilku pojedynczych widzów wychodzi na korytarz, w ostrym kolorowym świetle wyglądają jak cienie.

Brama na ulicę otwiera się i śnieg wiruje w porywie lodowatego przeciągu. Bar kończy pracę i goście wychodzą. Dziewczyna nakłada wyciągnięty spod kontuaru kaftan. Rozlega się warkot samochodów, reflektory omiatają kolorowe okna, podeszwy szurają po kamiennej posadzce, ktoś kaszle. Barmanka kiwa znacząco głową w stronę Petera Egermana i znika za zamkniętymi drzwiami w końcu korytarza.

Teraz Peter zostaje sam.

Czeka.

Podchodzi do niego portier.

Portier: Rozmawiałem z panną Jacobi. Jest gotowa zostać tutaj do szóstej rano.

Peter: Dziękuję.

Portier: Właściwie jest to zabronione.

Peter: Wiem. Tak, wiem.

Portier: Przepisy bezpieczeństwa. Przeciwpozarowego.

Peter: Oczywiście. Rozumiem.

Weiska duży banknot do ręki portiera. Ten wkłada go do kieszeni i wykonuje niemy gest w stronę zamkniętych drzwi.

Portier: Panna Jacobi jest w charakterystorni. Inne dziewczyny już wyszły. Proszę nie zapomnieć, że musi pan wyjść o szóstej. Zdarzają się nam wizyty policji, zwłaszcza nad ranem. To gliny, które mają nocną służbę i chcą sobie pomacać i napić się kawy, zanim pojadą do domu pod pierzynę do starej. W policyjnym raporcie to się nazywa „rutynowa kontrola”.

Peter kiwa głową, gasi papierosa w przepelnionej popielniczce, portier otwiera drzwi i stoi w długim korytarzu za sceną. W charakteryzatorni siedzi ostro oświetlona panna Jacobi. Jest całkowicie naga, jeśli nie liczyć naszyjnika z pozłacanych, ozdobnych płytek metalowych i pary tanich koleczyków, włosy zaczesane do tyłu i spięte w niedbały węzeł na czubku głowy, na jednej nodze ma pantofel na wysokim obcasie. Jest pilnie zajęta zmywaniem szminki. Duża twarz, zamaszyste gesty i wydatne usta sprawiają wrażenie ociężałości.

Rozgrzane powietrze pachnie kurzem, perfumami, potem i dymem z papierosów.

Ka: To pan, panie Eggerman. Proszę wejść, zaraz będę gotowa.

Peter przechodzi przez korytarz i wchodzi do charakteryzatorni. Siada na krześle u boku Ka.

Ka: Chce pan trochę wina?

Peter przytakuje w milczeniu i Ka nalewa mu wina. Peter wypija kieliszek i trzyma go w ręce, niezdecydowanie.

Peter: Wolę, aby pani była uszminkowana.

Ka: Bardzo proszę.

Natychmiast kończy usuwanie szminki i zaczyna posłusznie nakładać nową maskę.

Peter: Jeśli to nie sprawi zbyt wiele kłopotu.

Ka: Skądże. Tylko zdejmę rzęsy.

Peter: Oczywiście.

Ka i Peter przez dłuższą chwilę siedzą w milczeniu. Ona podaje mu jeszcze jeden kieliszek wina, który on wychyla jednym haustem.

Ka: Ale tutaj zaduch. Prawda?

Peter: (wzrusza ramionami) No tak.

Ka: Zapomnieli o wentylacji, kiedy budowali te lokale. Nie mamy też tutaj okien, więc kiedy chcemy przewietrzyć, musimy otwierać drzwi do piwnicy, ale to też bez sensu, bo tamtędy wchodzi tutaj dziwni goście. Nie zdejmie pan płaszcza, panie Eggerman?

Peter: Tak, oczywiście.

Peter zdejmuje płaszczyz. Obchodzi wkoło podłużną toaletkę pełną lamp i lustro, zavaloną tą całą masą przedmiotów, wśród których szesnaście dziewcząt może przebywać przez dwadzieścia dwie godziny na dobę. Równocześnie na końcu korytarza pojawia się portier, wyłącza magnetofon i głośnik, gasi światło na scenie (na którą wejście stoi otworem), życzy dobrej nocy, woła na psa, zamyka drzwi wejściowe, wciska futrzaną czapkę głęboko na czoło i wychodzi przez drzwi wyjściowe obok piwnicy.

Po wyłączeniu głośników zapada głęboka cisza.

Ka: Podobał się panu mój numer?

Peter: Nie bardzo.

Stoi przed nią po drugiej stronie toaletki i patrzy na nią. Ka maluje policzki, udaje zajęta.

Peter: Długo pani tu pracuje?

Ka: Trzy lata. Kiedy tu przyszedłam, wszystko było nowe i fajne.

Peter: To się oplaca?

Ka: Nie narzekam.

Peter: Skąd pani pochodzi?

Ka: Moja matka jest Dunką. Przyjechała tutaj w czasie wojny, przenosiła się z jednego miasta do drugiego. W końcu wyładowałyśmy tutaj. Pracowałyśmy w fabryce głośników w LudwigsWerke. Kilka lat temu zmęczyło mnie to i otworzyłam własny interes.

Peter: Ile ma pani lat?

Ka: Niech pan zgadnie.

Peter: Trzydzieści sześć.

Ka: Dwadzieścia dwa.

Peter: To nieprawda.

Ka: No to chyba nie.

Peter: Ma pani jeszcze wino?

Ka: Przecież nie mogłam wiedzieć, czy będzie pan chciał białe czy czerwone, a może wytrawne, więc kupiłam wszystkie rodzaje. Butelki są tam na półce, obok lodówki.

Peter siada z kieliszkiem i winem w drugim końcu pokoju zdala od zabójczego światła, zapala papierosa.

Peter: Tak jest dobrze. (podnosi kieliszek) Na zdrowie.

Ka: Na zdrowie. Przepraszam, pójdę do toalety.

Peter: Oczywiście.

Ka udaje się na korytarz po odszukaniu drugiego pantofla, siada na sedesie, siusia długo i z przyjemnością ze zgiętymi plecami i ściśniętymi udami. Potem starannie wyciera się papierem toaletowym. Kiedy splukuje, rozlega się dziwny bulgot w zardzewiałych rurach.

Ka: Właściwie dlaczego tu przyszedłeś?

Peter: A dlaczego tu się przychodzi?

Ka: Jesteś trochę dziwny.

Peter: Jak to?

Ka: Jest w tobie coś dziwnego.

Peter: Ach tak.

Ka: Zrobiłeś coś?

Peter: (z przelotnym uśmiechem) Nie sędzę.

Ka: Zamierzasz coś zrobić?

Peter: Nie wiem, o czym myślisz.

Ka: Zamierzasz zrobić mi coś złego?

Peter: Nie musisz się bać.

Ka: Jedna z dziewczyn chciała zostać i pilnować. Może byłam głupia, że jej powiedziałam, że nie trzeba.

Peter: Nie przejmuj się.

Ka: Coś jest nie tak.

Peter: Coś jest nie tak.

Ka: Boisz się.

Peter: Znawczyńi ludzi.

Ka: Jesteś ironiczny?

Peter: Prawie zawsze jestem ironiczny. To rodzaj kalectwa.

Ka: Tu jest trochę niewygodnie. Może pójdziemy do jakiegoś innego pokoju?

Peter nie odpowiada, tylko kiwa głową. Ka bierze klucz z szafki i otwiera drzwi po prawej stronie korytarza. Zaprasza Petera Egermana do wejścia.

Peter: Czy to twój pokój?

Ka: Tutaj przyjmuję klientów.

Peter: Strasznie gorąco. Nie można otworzyć okna?

Ka: Tu nie ma okien.

Peter odsuwa draperię, która odsłania ślepe okno.

Peter: Nie mogę tutaj wytrzymać.

Ka: Możemy pójść na scenę, jeśli chcesz. Tam jest o wiele więcej miejsca i dość przyjemnie. Chodź.

Ka zatrzymuje się przy małym pulpicie na lewo od wejścia, zapala wielobarwne oświetlenie, poprawia jakieś regulatory, przyciemniając światło, włącza magnetofon, który gra ciszej niż poprzednio.

Peter: Jak ci na imię?

Ka: Ka.

Peter: To musi być jakiś skrót.

Ka: Naprawdę na imię mi Katarina.

Peter: To masz takie samo imię jak moja żona.

Ka: To zabawne. Chciałeś coś powiedzieć?

Peter: Przed chwilą źle mnie zrozumiałaś. Myślę, że twój numer jest głupi i dość nudny. Ale uważam, że ty sama jesteś pociągająca.

Ka: (śmieje się) Pociągająca.

Peter: Usiądź tam, po drugiej stronie, abym mógł na ciebie popatrzeć.

Ka: Nie chcesz mnie dotykać?

Peter: Rób, co mówię.

Ka podnosi się posłusznie i trochę niezgrabnie, idzie w stronę przeciwległej strony pokoju i siada na niskim krześle pokrytym poplamionym kawałkiem aksamitu w tym samym odcieniu co draperie na ścianach. Magnetofon gra, kolorowe stożki światła krzyżują się w gorącym, pełnym kurzu powietrzu.

Ka: (trochę drwiąco) Tak jest dobrze?

Peter: Lepiej będzie, jak wstaniesz.

Ka posłusznie wstaje z zamkniętą, nieobecna twarzą. Stoi pochylona w stronę ściany, z ręką opartą na biodrze, pije wino.

Ka: (takim samym tonem) A teraz dobrze?

Peter: Popatrz na mnie!

Ka: (patrzy na niego) No i co?

Peter: Czy inni mężczyźni zwykle nie proszę cię o znacznie bardziej nieprzyjemne rzeczy?

Ka: To jest gorsze.

Patrzą na siebie wrogo. Peter nadal siedzi odchylony do tyłu w tej samej pozycji, uniósł prawą rękę i trzyma dwa palce lekko przyciśnięte do ust. Muzyka gra bez przerwy, ale bardzo cicho.

Ka: Wiedziałam, że z tobą jest coś dziwnego. Wiedziałam to od razu, jak tylko cię zobaczyłam.

Peter: Wszystkie drogi są zamknięte.

Podnosi się nieco pijany (prawie cała butelka czerwonego wina), potrząsa głową i uśmiecha się do siebie. Potem zostawia Ka tam, gdzie stała, w przymglonym, pełnym kurzu powietrzu, odszukuje płaszcz, nakłada go na siebie, szuka rękawiczek.

Ka: Idziesz już?

Peter: (nie odpowiada)

Ka: Nie rozumiem, dlaczego nagle tak się rozzłościłam?

Peter: Wszystkie drogi są zamknięte. Nie mówię tego, aby się nad sobą użalać. Tylko stwierdzam.

Ka: Dlaczego tak dziwnie mówisz? Przynajmniej zdejmij płaszcz. Nie musimy chyba tak tu stać i dyskutować.

Peter potrząsa głową i odpręża się. Pospiesznie podchodzi do drzwi piwnicy i próbuje je otworzyć. Są zamknięte od zewnątrz.

Ka: Przecież mówiłam ci, że te drzwi musimy zawsze zamykać.

Peter jej nie słucha, tylko natychmiast kieruje się do głównego wyjścia. Drzwi są zamknięte i nie ma w nich klucza.

Ka: (śmieje się) Musisz zostać.

Oblewa go zimny pot, siada na krześle pod drzwiami, kilka razy przesuwa ręką po twarzy. Szuka papierosa.

Ka: Chodź, pójdziemy tam znowu. Tutaj jest zimno i nieprzyjemnie. Chcesz, żebym ci zrobiła trochę kawy?

Peter: Tak, dziękuję.

Podnosi się znużony i udreńczony mdłościami, stoi niezdecydowany. Ka bierze go za rękę i prowadzi do saloniku dziewcząt, sadza na jednym z obdartych, poplamionych foteli.

Peter: To światło jest takie ostre. Nie można go zgasić?

Ka: Skarzyliśmy się już na to, ale nikogo nie obchodzi to, co my mówimy.

Krząta się przy kuchence elektrycznej. Peter pali papierosa. Magnetofon nadal gra, ale cicho.

Peter: Co to za zapach?

Ka: Coś czujesz?

Peter: Tak, coś czuć.

Ka: Tu na dole zawsze coś czuć. Szminka, dym z papierosów, pot, kurz i perfumy. Kiedy zatka się nam ubikacja, śmierdzi gównem. Czujesz coś innego?

Peter: Nie wiem. Tylko tak mi się wydaje.

Ka: Co?

Peter: Coś słodkawego. Jakaś zgnilizna.

Ka: Chyba węch mi się zepsuł, bo nie nie czuję. Kiedy byłem dzieckiem, mama zabierała mnie do swoich rodziców w Danii. Ciągłe pamiętam, jak pachniały pory roku. Teraz nie takiego nie czuję.

Peter: Pory roku?

Ka: Zima pachniała śniegiem, piecami węglowymi i wilgotnymi rękawiczkami. Lato pachniało morzem, wodorostami i mrowiskami. Wiosna to woda z roztopów w głębokich rowach, świeżo rozkwitłe bazy wielkanoce i deszcz. Ale najfajniejsza była jesień –

Milknie. Peter siedzi z zamkniętymi oczami, być może śpi. Ka ostrożnie kończy swoje zajęcie przy filiżankach i maszynie do parzenia kawy, siada na krześle bez oparcia, zdejmuje pantofle i kiczowate koleczyki, rozpina naszyjnik z pozłacanych metalowych płytek.

Peter: Dlaczego przerwałeś? Ja nie śpię.

Ka: Kawa gotowa. Bardzo proszę.

Peter: Dziękuję.

Dostaje porcelanowy kubek i pije z niego mocną kawę. Ka siedzi na niskim krześle, pochylona do przodu, z łokciami opartymi na udach.

Ka: Nie możesz zdjąć płaszcza? Przecież tutaj jest dość ciepło, prawda?

Peter: No.

Wstaje, odstawia kubek z kawą na stolik zawalony ilustrowanymi tygodnikami. Zaczyna zdejmować ciężki zimowy płaszcz, ale nagle zastyga w połowie ruchu. Ka pomaga mu, jego twarz jest teraz – po krótkim śnie – bardzo blada, a jej wyraz boleśnie nieobecny. Ka rozpina mu koszulę i ściąga ją z niego.

Peter: Jestem zmęczony.

Ka unosi swoją dużą, suchą dłoń i przesuwa mu po oczach w geście nagłej i niezdarnej czułości.

Ka: Teraz pójdziesz spać.

Peter: Nie. Tam nie.

Ka: Chodź.

Bierze go za rękę i prowadzi w stronę sceny. Ponownie przesuwa mu ręką po twarzy.

Zaciemnienie.

Koniec.

Nikłe światło burdelowych kinkietów w salce projekcyjnej.

Szmer rozmowy z kabiny operatora.

Anna czegoś szuka w swoim skoroszycie.

Albert Kummer patrzy w sufit.

Albert: Niech pani ich poprosi, aby mówili trochę ciszej w kabinie!

Anna: (telefonuje) Halo. Możecie mówić trochę ciszej? Dziękuję. Dziękuję. To miło z pańskiej strony. Serdecznie dziękuję.

Albert: (nagle się śmieje) Tak, mój Boże. (pauza) Mój Boże!

Anna: Jeśli mam być szczerą, to nie wiem, do czego ta scena zmierza.

Albert: Ale też wcale pani nie musi, panno Bergman. Taki wysiłek byłby niepotrzebny.

Anna: A zatem, czy jest jakiś sens w kontynuowaniu tej pracy?

Albert: Jestem biznesmenem, ale mam pewien słaby punkt – kocham sztukę. Czasami kocham nawet artystów. To nie uchodzi bezkarnie, a przede wszystkim nie bezpłatnie!

Anna: A więc mam kontynuować?

Albert: Z dwóch powodów, panno Bergman. Po pierwsze, ciekaw jestem tych siedmuset pudełek. Cały czas uważam, że zaglądam do mózgu szaleńcowi i jest to, muszę powiedzieć, cholernie interesujące. Marco dostarczył mi przeżycia. Wprawdzie opartego na różnorodnych składnikach, przyznaję, ale przeżycie jest mimo to. A w moim wieku należy być wdzięcznym za swoje przeżycia.

Anna: Miał pan dwa powody, doktorze Kummer.

Albert: Jest pani uważna i przysłuchuje się pani mojej starszej papłaninie. Tak jest, mam dodatkowy powód, aby zakończyć tę pracę i ma on coś wspólnego z panią.

Anna: Ze mną?

Albert: (wesoło) Z panią, panno Bergman.

Anna: Tak?

Albert: Moja siostra Topsy sześćdziesiąt lat temu miała szwedzkiego narzeczonego. Cholernie dobrze gotował i coś niecoś ją nauczył. Proszę mnie dobrze zrozumieć, panno Bergman. Zamiast leżeć w łóżku i wysilać się bez żadnego pożytku manifestowali swą miłość najcudowniejszymi potrawami. Ich – za przeproszeniem – orgazmami stawały się przyprawiające o zawrót głowy suflety, ich grą wstępną niezrównane zupy. Nie mówiąc już o ich rondlach, stekach i zapiekankach rybnych!

Anna: Chętnie przyjdę na obiad.

Albert: Moja siostra Topsy kazała zawiadomić, że dzisiaj zaprasza na grochówkę z boczkami i grzaneckami. Do tego pijemy gorący poncz, który dostała w prezencie gwiazdkowym od miejscowego konsula. Na deser dostaniemy naleśniki z konfiturami.

Kummer pomaga założyć Annie jej prosty i elegancki kożuch. Kiedy ona się ma odwrócić w jego stronę i podziękować za pomoc, on obejmuje ją od tyłu, ona nieruchomieje, ani nie odrzucając, ani nie zachęcając. On długo stoi i trzyma ją. Potem opuszcza ramiona, ale ciągle stoi.

Albert: Proszę wybaczyć.

Anna: Nie nie szkodzi.

Albert: Nie mogłem się powstrzymać.

Anna: To było miłe. Podobają mi się.

Albert: (nabiera odwagi) No to chodźmy.

Anna: Tak, chodźmy.

Albert: Już słyszę, jak on się śmieje.

Anna: Kto się śmieje?

Albert: Marco, oczywiście. Marco śmieje się z nas.

Panna Topsy Kummer wchodzi na palcach do jadalni z dużą wagą pełną parującej grochówki. Anna i Albert już zasiedli do stołu.

Topsy: Moi drodzy, musicie wybaczyć, że dzisiaj nie zjem z wami. Polly trochę źle się czuje.

Albert: To przykra wiadomość. Co jej jest?

Topsy: To oczywiście jedna z jej depresji. Ciągłe płacze i źle się wyraża o swoich bliźnich.

Zaczyna podawać tę wspaniałą pachnącą zupę. Albert nalewa gorącego ponczu z wykwintnego dzbanka o staroświeckim wyglądem.

Anna: Czy mogłabym odwiedzić pannę Kummer?

Topsy: Nie, drogie dziecko, naprawdę nie powinna pani tego robić. To okropne, jak ona się zestarzała w ostatnim okresie. Może miała drobny atak apopleksji?

Nagle z ciemnego holu rozlega się głos Polly. Pojawia się nieczym tyczkowaty duszek i opiera się jedną ręką o futrynę, natomiast drugą owija się w swój znoszony szlafrok.

Polly: Topsy zaraz przyjdzie.

Topsy: (robi minę) Oczywiście, Poluniu, zaraz przychodzę.

Polly: Nie będziesz tutaj stała i mnie obgadywała.

Topsy: Wcale tego nie robię.

Polly: A kto miał atak apopleksji, jeśli wolno mi zadać tak wścibskie pytanie? Ty czy ja?

Topsy: (nowa mina) Najlepiej będzie, jak sobie pójdę. (idzie, odwraca się) A propos, jakiś pan dzwonił do pani Bergman.

Anna: (wystraszona) A kiedy?

Topsy: Może z godzinę temu. Zapytałam, z kim mam honor rozmawiać, ale on nie odpowiedział. Nie był zbyt sympatyczny.

Anna: Powiedział coś więcej?

Topsy: Zostawił numer telefonu. Leży na biurku Alberta.

Polly: (rozzłoszczona) Przyjdiesz wreszcie?

Topsy: Tak, oczywiście, skarbie. (do Alberta i Anny) Smacznego. (do Polly) Chodź, Polly, zobaczysz, jakie świetne zrazy cielęce ci przygotowałam, zawsze je lubiłaś, prawda?

Dwie damulki oddalają się, gawędząc. Przy stole zrobiło się cicho. Albert unosi swój kieliszek i próbuje się uśmiechnąć.

Anna: Czy będzie panu smutno, doktorze Kummer, jeśli ja zadzwonię pod ten numer?

Albert: Nie, nie. Podgrzeję zupę.

Anna natychmiast znalazła zapisek na biurku i wykręca numer. Słychać posępny sygnał rozlegający się w pustej przestrzeni. Anna czeka przez kolejnych dziesięć sygnałów. Początkowo jej twarz wyraża napięcie, potem zawód i narastający gniew. Powoli odkłada słuchawkę, nadal stoi przy biurku, wygląda przez okno, spogląda na zaśnieżony, cichy park, w którym kilku samotnych wieczornych spacerowiczów przechadza się ze swoimi psami.

Albert stoi w głębi w cieniu, pali się tylko stojąca na biurku lampa z zielonym porcelanowym abażurem.

Albert: (delikatnie) Nikt nie podniósł słuchawki?

Anna: (ledwo słyszalnie) Nie, nikt nie podniósł słuchawki.

Albert: A jak pani myśli, kto dzwonił?

Anna: (bardzo cicho) Nie wiem. (pauza) Nie wiem.

Albert: Być może był to nasz przyjaciel Marco Hoffmann.

Anna: (bardzo cicho) Tak, może.

Albert: Myśli pani o nim przez cały czas, prawda?

Anna: W gruncie rzeczy nie.

Albert przyjmuje to oczywiste kłamstwo z lekkim uśmiechem. Zbliża się, robi kilka bezszelestnych kroków po grubym dywanie.

Albert: Może to dzwonił pani mąż.

Anna: Mój mąż?

Albert: Oczywiście. Pan Bergman.

Anna: Ach, on!

Albert: Przepraszam, nie rozumiem.

Anna: On nigdy nie istniał.

Albert: Nigdy nie istniał?

Anna: Ja tylko naprędce go wymyśliłam.

Albert: Ach tak. No tak. No tak.

Anna: Trochę się bałam, że będzie pan natarczywy. I tak wymyśliłam prawdziwego męża.

Albert: Ach tak. No proszę. Sprytnie.

Anna: Wróćmy do stołu?

Albert: Anno, chciałbym panią o coś zapytać.

Anna: Tak?

Albert: Może chciałaby pani wyjść za mąż, mam na myśli za mnie?

Anna: Chyba rozważałam taką możliwość.

Albert: To byłoby niegłupie? Powiedziała pani, że mnie pani lubi. Naprawdę dość miło nam ze sobą. Prawda?

Anna: Ależ tak. Oczywiście.

Albert: Chociaż jestem brzydki, niezgrabny i niezbyt pociągający, to prawda. Rozumiem, że młoda, piękna kobieta musi odczuwać pewien niesmak wobec mężczyzny, który wygląda tak jak ja –

Anna: – To nie tak.

Albert: Wiem, że jestem staromodny i nieco śmieszny. Żyję tutaj z moimi starymi zamożnymi siostrami, niech Bóg ma je w swojej opiece! Właściwie nigdy inaczej nie żyłem. Gdyby pani zechciała wyjść za mnie, Anno, to ja bym to wszystko zmienił, obiecuję. Kupilibyśmy sobie duży piękny dom z ogrodem i basenem, dwa piękne samochody i zatrudnilibyśmy służbę, miłych, dobrze wychowanych Jugosławian.

Anna: Ja tutaj czuję się dobrze.

Albert: Tak, nie, co to ja chciałem powiedzieć. Jestem bogaty, Anno. Ja naprawdę jestem niezmiernie bogaty. Proszę o tym pomyśleć.

Anna: Właśnie o tym myślę.

Albert: Może pani żyć całkowicie bezpiecznie do końca życia.

Przecież czuję, że to nie jest argument, który dociera do młodej kobiety.

Anna: Niech pan nie mówi tego z taką stanowczością, doktorze Kummer.

Albert: Zachowaj pani swoją pracę zawodową, jeśli ma pani na to ochotę, nie musi się zmieniać, ma pani pełną swobodę, Anno! Proszę panią tylko, aby

pani żyła ze mną przez kilka lat. Proszę pomyśleć o spadku. Nie mam żadnych krewnych, tylko te stare mumie tutaj, które przypuszczalnie wkrótce umrą. Odziedziczy pani olbrzymią fortunę, Anno. Odziedziczy pani fabryki, grunta, dom mieszkalny, dwa zamki, otrzyma pani nieograniczoną władzę. Wiem, że będzie pani tym zarządzała jak najlepiej. Jest pani mądra dziewczyna, wspaniałą osobą, a ja bezgranicznie panią lubię.

Anna: Bezgranicznie?

Albert: Pani się ze mnie śmieje. Bezgranicznie to być może określenie banalne. Być może ta cała sytuacja jest banalna, oczywiście tak jest. Ale Anno, droga Anno, są takie sytuacje w życiu, rozstrzygające chwile, kiedy trzeba sobie pozwolić na banał.

Anna: (poważnie) Pan wcale nie jest banalny, doktorze Kummer.

Albert: Tym gorzej. Wiedziałem, że pani nie jest zamężna. Dowiedziałem się o tym. Wiem również, że pani jest bardzo samotna, Anno. Ma pani kilkoro przyjaciół, ale są żonaci i mają dzieci, spotyka się pani z kilkoma mężczyznami i trochę się z nimi bawi, aby odpędzić samotność na parę godzin albo dni.

Anna: Wie pan o tym wszystkim, doktorze Kummer?

Albert: Tak, wiem wszystko o pani, niech to pani nie urazi, Anno. Byłem bardzo dyskretny w moich badaniach. Już pierwszego naszego wspólnego dnia postanowiłem sobie, że zapytam panią, czy nie zechce pani za mnie wyjść. (pauza) Teraz już nie więcej nie mam do powiedzenia. Być może wszystko zepsułem. Proszę coś powiedzieć, Anno.

Anna: Naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć.

Albert: Przecież dzisiejszego wieczoru nie musimy niczego postanawiać.

Anna: Nie.

Albert: Być może powinienem powiedzieć, że rozumiem pani uczucia do Marco.

Anna: (potrząsa głową)

Albert: Nie chcę być nietaktowny, Anno.

Anna: Wcale pan nie jest.

Albert: Wiem, gdzie jest Marco.

Anna: (oniemiała) Nie.

Albert: Napisałem do niego list i prosiłem, aby zadzwonił do pani i powiedział, że już nie chce się z panią spotykać.

Anna: Nie.

Albert: Tak jest.

Anna: Ale dlaczego –

Albert: Myślę, że on jest w bardzo złym stanie, bez przerwy pije. Prosił mnie, żebym uszanował jego decyzję o zniknięciu. Jestem jego przyjacielem, Anno. Co ja mam zrobić? Nie mam żadnego wyboru.

Anna: Czy jest chory?

Albert: On mówi, że wreszcie żyje w stanie prawdy, cokolwiek przez to rozumie. Ja to szanuję, jeśli człowiek świadomie chce doprowadzić siebie do zguby.

Anna: Gdzie on jest?

Albert: Tego nie mogę powiedzieć.

Anna: A zatem, doktorze Kummer, nigdy nie będziemy mieli nic wspólnego ze sobą.

Albert: A jakie ma pani prawo przeszkadzać człowiekowi, który odsunął się od pani i od pani rzeczywistości?

Anna: On nie może mi tego zrobić.

Albert: On ma pełne prawo bronić się przed pani perswazjami i szantażami uczuciowymi. On nie ma żadnego powodu, aby odpowiadać na pani żądania.

Anna: Ja nie mam żadnych żądań.

Albert: Anno! Cała pani młoda osoba jest jednym wielkim żądaniem wobec człowieka w jego sytuacji. Wewnątrz tego mężczyzny jest straszna nienawiść, i tę nienawiść obróciłby przeciwko pani, gdyby pani go odszukała i próbowała namawiać go do tego czy owego.

Anna: Odmawiam. Odmawiam zgody na pańską i Marco gównianą, sentymentalną ewangelię upadku. Nigdy nie słyszałam nic głupszego. Mam zamiar go odszukać. Dowiem się, gdzie jest, znajdę go. Wiem, że go znajdę. Dla mnie ta sytuacja nie jest tak cholernie delikatna i skomplikowana. Człowiek, który zapija się na śmierć, jest chory. Choremu człowiekowi należy pomóc, niezależnie od tego, czy przejmujemy się tym człowiekiem, czy nie. Człowiek może odczuwać skruchę, nabrać nowych sił i animuszu. To się raz po raz zdarza. To się zdarza zawsze. Nic nie jest nieodwołalne.

Albert: A więc Anna Bergman idzie. (uśmiecha się smutno)

Anna: Tak, teraz idzie.

Albert: A film?

Anna: Ukończę, tak jak obiecałam.

Albert: No to do zobaczenia, Anno.

Anna: Do zobaczenia.

5

INTERLUDIUM

Było to w czasach, kiedy bogowie ciągle jeszcze wędrowali po ziemi. Zaufanie pomiędzy ludźmi a boskimi potęgami nie było zniszczone i wzajemną zależność uznawano bez zastrzeżeń.

Filemon i Baucis pobraли się, kiedy byli bardzo młodzi, opuścili wiejską wspólnotę i przy pomocy krewnych zbudowali małą zagrodę nad morzem. Wokół domu rozciągały się kamieniste pola, skartłowaciały las i rozległe podmokłe łąki, na których pasły się jagnięta. Skromny dostatek wyrastał z ubóstwa, a o ludziach z odległej zagrody mówiono dobrze. Potem nadszedł czas wielkich wojen, synowie zniknęli i już nigdy nie powrócili do domu. Młode panny wyszły za mąż i ich mężowie zabrali je do dalekich nowych osad lub odziedziczonych gospodarstw.

Filemon i Baucis zostali sami, byli już w dość podeszłym wieku i bardziej zmęczeni niż dawniej. Mimo iż pracowali od rana do wieczora, gospodarstwo podupadało, nie bardzo, ale wyraźnie. Sami widzieli zmiany, ale nie mogli na to poradzić. W domu jednak wszystko było schludne i zadbane, sami też dbali o siebie i opiekowali się sobą. Jedynie pola położone dalej ponownie zarosły sosnowym lasem, jak również oficyna zaczęła niszczeć, zimą kalenice trzeszczały pod śnieżną pokrywą, drzwi nadwyreżał nieustanny przeciąg, fundamenty osiadły. Ale dom mieszkalny był w zupełnie dobrym stanie, Filemon mężnie harował,

a Baucis we wszystkim mu pomagała. Byli przyzwoitymi i gościnnymi ludźmi. Ci, którzy przechodzili obok ich gospodarstwa, chętnie zatrzymywali się, siadali i wdawali się w rozmowę przed dalszą wędrówką. Nigdy nie słyszano, aby małżonkowie się kłócili. Wprawdzie uważano ich za parę dość niezwykłą, nieomal dziwną, ale mimo to podawano ich jako godny naśladowania przykład dla młodych.

W pewien bezchmurny i chłodnawy wieczór, kiedy wiał wiatr od morza i słyszeć było grzmot przybojów rozbijających się o przybrzeżne rafy, Filemon zajmował się naprawą wrót, które rozpadły się w czasie zimy. Baucis była w obozrze i doila krowy. Słońce stało już nisko nad horyzontem, ale wszystko zabarwiał na kolor roztopionego złota. Mocno pachniały wodorosty, które Filemon rozrzucił po swoich nieurodzajnych zagonach. Wysoko w górze, na bezchmurnym, prawie bezbarwnym nieboskłoncie zawisł drapieżnik na nieruchomych skrzydłach. Baucis wyszła na podwórze z wiadrem pełnym parującego mleka, postawiła swój ciężar na skrzyni i osłoniła ręką oczy. Zawołała do Filemona, że ktoś nadchodzi drogą. Starzec natychmiast przestał wbijać gwoździ i przymrużając krótkowzroczne oczy, spojrzał w stronę zakrętu drogi. (A nie była to szczególnie szeroka droga, lecz nieomal ścieżka, która wieloma zakolami przebiegała się przez szeroki, kamienisty brzeg). Stwierdził, że Baucis widziała dobrze. U góry, przy zejściu do zagrody stał jakiś wysoki mężczyzna w stroju podróżnym i dużym szarym kapeluszu z szerokim rondem. Rozejrzał się wokół, jakby z wahaniem. Filemon zapytał, czy kogoś szuka. Jednocześnie wyszedł przed wrota, zamknął je za sobą i zbliżył się do obcego, który grzecznie się uklonił i zaraz wyjaśnił, że widocznie zablądził. Zamierzał przed zapadnięciem zmroku dotrzeć do wioski. Filemon wyciągnął rękę i przywitał się. Cudzoziemiec odpowiedział na przywitanie z serdeczną otwartością. Potem kilka chwil stali w milczeniu i patrzyli na Baucis, która powoli weszła do domu ze swoim ciężkim wiadrem mleka. Morze grzmiało, a wiatr był lodowato zimny. Nad nieruchomą wodą połyskiwała smuga światła. Obcy uważał, że przed nocą chyba spadnie śnieg, chociaż był maj. Filemon odparł, że wiosna jest nadzwyczaj długa i chłodna. Łód utrzymywał się na morzu aż po horyzont. Obcy zapytał, czy Filemon jest zadowolony ze swoich jagniąt. Filemon odparł, że tak. Wszystkie owce miały po dwa jagniątka. Z powodu zamieci i zimna najłabsze od razu zdechły, co przecież miało swoje dobre strony. Potem Filemon zapytał wprost, czy obcy nie zechciałby wstąpić na chwilę i odpocząć, czy może nie jest głodny i nie chciałby czegoś przekąsić. Mężczyzna podziękował za zaproszenie i zeszli do zagrody.

Baucis już nakryła do wieczery. Podgrzała pożywną zupę rybną, do tego był ciemny chleb i ser. Poczęstowała też aromatycznym piwem, które sama uwarzyła. Mężczyzna zdjął ciężki płaszcz podróżny i kapelusz, postawił łaskę w kacie i usiadł przy stole. Jedli w milczeniu.

Nagle obcy zapytał, czy oboje starszankowie żyją sami w zagrodzie. Filemon odpowiedział, że tak. Córki znalazły sobie mężów w odległych stronach. Obaj synowie przepadli na wielkiej wojnie.

Kiedy jedli w kuchni o wybielonych ścianach z malowanymi kilimami i dużym piecem, jeszcze było jasno. Światło zachodzącego słońca sączyło się przez okienka i wszystko zabarwiała tajemniczymi wzorami. Mimo to Baucis ustawiła na stole świecę. Mężczyźni zapalili fajki, cudzoziemiec poczęstował tytoniem, a Baucis przyniosła więcej piwa.

(Zimny, jasny, wiosenny dzień gasł niepostrzeżenie, nów księżyca wstawał nad horyzontem i jagnięta drzemały w zaciszu wysokich murów zagrody).

Cudzoziemiec był ciekaw, czy dwojgu starym ludziom nie jest zbyt ciężko zajmować się gospodarstwem bez żadnej pomocy. Filemon odpowiedział, że jak na razie wszystko jakoś idzie, ale martwią się o przyszłość. Jemu tego roku wzrok się pogorszył i oprócz tego ciągle go boli w ramionach i w łopatkach. Żona jest oczywiście zdrowa, ale nie można przerzucić wszystkich zajęć na nią. Filemon wyjaśnił ponadto, że jemu i jego żonie dobrze się żyło razem i że mimo osamotnienia mają wiele powodów do radości. Wtedy Baucis uśmiechnęła się i położyła rękę na rękę męża, potem zaraz wstała i przyniosła sobie robótkę. Siedzieli przez chwilę w milczeniu i słuchali wiatru w kominie i grzmotu morza bijącego o skały. „Śmierć”, powiedział nagle Filemon głosem, który jego samego zdziwił. „Śmierć nas specjalnie nie straszy, muszę powiedzieć. Okrutne i dotkliwe jest tylko to, że jedno z nas musi umrzeć wcześniej od drugiego. Jedno z nas będzie musiało chodzić po zagrodzie i myśleć o drugim w samotności. Trudno to sobie wyobrazić. Przecież żyliśmy razem przez, ile to teraz będzie, pięćdziesiąt dwa lata? Baucis przytakiwała. „Pięćdziesiąt dwa lata”, powtórzył Filemon zmartwiony. W tym łóżku spaliliśmy co noc przez pięćdziesiąt dwa lata. Ludzie mogą się zrastać ze sobą, to chyba nie jest takie częste, sądząc po tym, co widziałem i rozumiałem, ale to się zdarza. I wówczas jest niesprawiedliwością i okrucieństwem, że dwie osoby, które żyły razem przez prawie całe życie, muszą się rozstać”. Cudzoziemiec zapalił fajkę krzesiwem, które podała mu Baucis. Przez chwilę bardzo ostre światło padało na jego zamyśloną twarz. Pokiwał głową: tak, to okrutne rozdzielać dwoje ludzi, którzy żyli przez tak wiele lat w najgłębszej zgodzie. „Myślimy prawie tymi samymi myślami”, powiedziała Baucis, uśmiechając się. „On tam zaczyna coś mówić, a ja natychmiast wiem, o co chodzi i mogę powiedzieć właściwe słowo”. „Nigdy się ze sobą nie nudzimy”, tłumaczyła Baucis. „Większości ludzi jest bardzo nudno tylko ze sobą, ale nie nami”. Filemon próbował teraz powiedzieć coś ważnego, przymierzał się parę razy, ale powstrzymywał się. „Chcesz coś powiedzieć”, rzekł cudzoziemiec i spojrzał na Filemona z nagłym uśmiechem na swoim mądrym, nieco chłodnym, pańskim obliczu. „Drobiazg”, powiedział wreszcie Filemon, tak jakby się tym samym tłumaczył. „Przez cały czas chodzi tylko o drobiazgi, jeden sumuje się z drugim, to są niezliczone drobiazgi, które dotyczą dwojga ludzi w trakcie długiego życia”. Głosy się nieco podniosły i rozmawiano głośniejszym niż zazwyczaj, to oczywiście mogła być zasługa ciemnego piwa. „Mogę popatrzeć na wasze ręce”, nagle zażądał cudzoziemiec.

Filemona i Baucis zakłopotало to wezwanie. Być może pomyśleli, że jego żądanie było trochę nie na miejscu. Mimo to posłuchali i położyli ręce na stole: Filemon prawą, a Baucis lewą. Obcy mężczyzna wziął je ostrożnie pomiędzy swoje duże, ciepłe dłonie i oglądał ze zdumieniem i zainteresowaniem. Kiedy zakończył badanie, pokiwał poważnie głową, jakby potwierdzając. „Ale Raj jest chyba jednak czymś szczególnym”, powiedział potem. „Raj wydaje się lepszy, doskonalszy i piękniejszy niż jakiekolwiek inne miejsce na ziemi. Tam spotykają się ludzie po śmierci i mogą być razem przez całą wieczność. Tam jest jasno i ciepło i nie boli człowieka w ramionach i między łopatkami i człowiek chyba również nie musi wlec ciężkich wiader z mlekiem”.

„To wszystko wygląda wspaniale”, odpowiedział Filemon i spojrzał z zafra-sowaną miną na cudzoziemca. „Moja żona i ja próbowaliśmy pocieszać się myślą o wiecznych radościach, ale czujemy się mimo to zagubieni i zatroskani. Nie chcemy światła i ciepła tam, po drugiej stronie, chcemy mieć wiatr i morze, a także nasze kamienne ogrodzenia, które zbudowaliśmy razem z naszymi synami. Nie możemy wyobrazić sobie nic lepszego od tej wyspy, tego brzegu, śpiewu ptaków i zimowego sztormu nad kalenicą. „Mówi się przecież, że będziemy mogli oglądać oblicze Boga”, powiedziała nagle Baucis i zaczerwieniła się z powodu śmiałości swojej myśli. „Tak się przecież mówi, i to może oczywiście stać się wielkim przeżyciem, jestem tego pewna. Ale ja i on (wskazuje podekscytowana na męża), my bodaj wolimy stać tam na wzgórzu i oglądać nasz brzeg i nasze morze, chociaż to są tylko kamienie i woda. Jesteśmy tacy niewdzięczni”, powiedziała i uśmiechnęła się zawstydzoną.

Cudzoziemiec słuchał uważnie. Siedział pochylony do przodu z rękami na stole, jego fajka zgasła, palcem wodził po słojach w ciemnym drewnie. Potem podniósł głowę i długo patrzył na swoich gospodarzy. „Przybywam z dość odległych stron”, powiedział. „My tam mamy dość mgliste wyobrażenia o tym, jak rozwija się życie na waszej wyspie. Słyszeliśmy bardzo wiele o trudnościach, które ludzie muszą znosić. Surowa, niegościnna natura, kiepskie możliwości zarobkowe, okrucieństwo i niesprawiedliwość. W końcu mnie to zaciekało. Czy to rzeczywiście prawda, że wasza dola jest taka gorzka? Teraz zawędrowałem daleko i uważnie rozejrzałem się wokół siebie.” „I do jakiego doszedłeś wniosku”, zapytał z ciekawością Filemon. „Nie wiem”, odpowiedział cudzoziemiec i smutno potrząsnął głową. „Nie wiem. Jestem smutny i skonsternowany”. „Chyba jesteś również zmęczony, ponieważ wędrowałeś tak długo”, powiedziała Baucis i dotknęła rękawa od płaszcza cudzoziemca. „Możliwe”, odparł i spojrzał na Baucis, „ale moje zmęczenie nie jest tutaj istotne”.

Świeca prawie wypaliła się i pociemniało w dużej kuchni, za okienkami majowa noc była jasna i chłodna, wiatr ucichł, ale morskie przyboje nadal było słychać.

„Może nie mam racji”, powiedział cudzoziemiec i oparł głowę na dłoni. „Być może brakuje tu czegoś bardzo ważnego. Ludzie muszą żyć w wielkiej biedzie, na którą trzeba zaradzić, zanim będzie za późno”. „Jak to za późno”, powiedział Filemon i zmarszczył czoło. „Mówię o sobie”, odparł cudzoziemiec wymijająco i uśmiechnął się. „Nie jestem przyzwyczajony tak siedzieć i przegadywać wiele godzin z dobrymi przyjaciółmi. Z latami człowiek trochę samotnieje”. Ponieważ oboje starszków miało wrażenie, że mężczyzna mówił sam do siebie, uważali, że najtaktowniej będzie ani nie odpowiadać, ani nie pytać. „Popełniłem wiele błędów”, powiedział nagle cudzoziemiec, a jego niski głos brzmiał przerażająco pośród cieni. „Popełniłem wiele błędów, ale wielki eksperyment wymaga ofiar, to całkiem naturalne, trzeba się z tym liczyć”. „Być może nigdy nie odbyłbyś tej podróży”, zauważył Filemon, któremu mężczyzna zaczął wydawać się dziwny. „To wtedy nie spotkałbym was”, powiedział cudzoziemiec ze śmiechem. Rozprostał swoje duże ciało i ziewnął. „A teraz może już pora na spoczynek”, powiedział. „Jeśli mi użyczycie jakiegoś koca, to mogę spać na podłodze albo na ławce. Wasz strych z sianem wygląda na nieco przewiewny i nie chciałbym się przeziębić.” „Możesz spać w naszym łóżku”, powiedziała Baucis. „Mamy materac, na

którym śpimy, kiedy dzieci nas czasem odwiedzają”. „Nie mogę tego przyjąć, to naprawdę zbyt uprzejme”, zaoponował cudzoziemiec. „Jeśli moja żona coś zdecydowała, to nie ma sensu się sprzeciwiać”, powiedział Filemon. „Śpij w naszym łóżku. Jest naprawdę dość wygodne. Jedynym problemem będą chyba twoje długie nogi”. „Przystawimy krzesło do łóżka”, zdecydowała Baucis. I tak się stało.

Kiedy powiedzieli sobie dobranoc i zgasili świecę, pokój napełnił się ruchliwym, łagodnym światłem. Był wczesny świt przed wschodem słońca. „Wiatr skierował się na południe”, powiedział Filemon sennym głosem. „To dobrze, będziemy mieli deszcz, było strasznie sucho w ostatnim miesiącu”. „Już pada”, powiedziała Baucis. „Tylko posłuchaj!” Słuchali. Znad kalenicy dał się słyszeć delikatny szelest. „Tak, pada”, powiedział Filemon. Zapadło milczenie. Ogień szumiał i trzeszczał w piecu, deszcz uderzał o okno i dach. Szare światło poruszało się i zmieniało. Nagle cudzoziemiec usiadł, tak że łóżko zatrzeszczało. „Pragniecie czegoś”, zapytał podniecony. „Nie takiego, co mógłbyś nam dać”, odpowiedział Filemon. „Powiedzcie, czego najbardziej ze wszystkiego pragniecie”, powiedział cudzoziemiec nieustępliwie. Baucis usiadła z rękami na kolanach. „Wiesz, czego pragniemy”, powiedziała cicho. „To prawda”, powiedział cudzoziemiec i położył się. „Wiem, czego pragniecie najbardziej ze wszystkiego”.

Spali tylko kilka godzin, kiedy mężczyzna ich obudził. Był już ubrany w swój ciężki płaszcz podróżny. „Muszę iść”, powiedział. „Ale poczekaj trochę”, powiedziała rozespana Baucis. „Przygotuję ci coś ciepłego. Nie możesz tak wędrować o pustym żołądku”. „Zatrzymałem się zbyt długo, muszę iść”, powtórzył cudzoziemiec. „W każdym razie pójdę z tobą do tej szerokiej drogi, abyś trafił do wioski”, powiedział Filemon, który już nakładał buty. „To miło z twojej strony”, powiedział cudzoziemiec, „ale nie musisz. Pójdę inną drogą”. Teraz wszyscy troje stali. Było jasno jak w dzień i deszcz uderzał o okno i dach. „Trudno mi się z wami rozstać”, powiedział cudzoziemiec, kiwając poważnie głową. Potem chwycił ich za ręce. „Waszym życzeniem było móc zawsze żyć razem w tym miejscu?” – zapytał i popatrzył na nich. Odpowiedzieli twierdząco. „To chodźcie”, powiedział mężczyzna i wyprowadził ich na podwórze. Południowy wiatr wzbudził dużą zamgloną chmurę, było mgliście i szaro, deszcz szumiał łagodnie. Pachniało wilgotną ziemią i morzem. Cudzoziemiec zaprowadził staruszków na środek podwórza, tam ich ustawił na wprost siebie nawzajem. „Teraz zamknijcie oczy”, powiedział, „będziecie się obejmować, cokolwiek by się zdarzyło”. Schwycił ich za ramiona i przycisnął do siebie nawzajem, potem wziął ich za szyję i zetknął ze sobą czołami. Następnie rozpiął swój ciężki, ciemnobrązowy płaszcz podróżny i powiesił go na ich ramionach. „Co z nami robisz”, zapytała Baucis, ale nie wydawało się, aby była wystraszona. „Trzymajcie się siebie mocno, cokolwiek będzie się działo”, powiedział cudzoziemiec tak stanowczym głosem, że staruszkowie nie śmieli wydać z siebie ani słowa. „Teraz zrobię z was drzewo”, powiedział rozkazującym tonem. „Zrobię z was dąb z dwoma pniami. Gałęzie będą stykały się ze sobą, korzenie drzewa będą sięgały głęboko w ziemię, będzie tutaj zawsze stało i rozglądało się po morzu i brzegu. Ptaki będą wity gniazdo w jego cienistym listowiu i źródło będzie biło u jego podnóża. Będzie stało wiecznie, a ludzie będą budować i mieszkać, żyć i umierać przy tym drzewie”.

Cudzoziemiec stał przez chwilę i rozmyślał, krople deszczu ściekały z jego dużego kapelusza. Potem mocno uchwycił swoją łaskę i przez bramę udał się

w stronę pagórka. Na rozstajach odwrócił się i patrzył na swoje dzieło: był to potężny dąb, który wyrósł z ziemi i dzielił się na dwa pnie, których ciężkie gałęzie stykały się ze sobą w silnym południowym wietrze. W koronie drzewa można było zobaczyć lekki obłok świeżych pąków liści. Cudzoziemiec głęboko westchnął zarówno z żalu, jak i z ukontentowania i rozpoczął swoją wędrówkę kamienistą, krętą drogą.

Jeśli się uważnie nasłuchiwało przy pniu drzewa, można było usłyszeć, jak starszyszkowie rozmawiają ze sobą. „Co za szelma”, powiedział Filemon i zaśmiał się. Kiedy jego żona nie odpowiadała, zapytał trwożnie: „Chyba dobrze się czujesz?” „Ależ tak, jak najbardziej”, odpowiadała Baucis lekko zakłopotana. „Ja czuję się dobrze, lepiej niż kiedykolwiek”. „Dlaczego mówisz tak żałośnie?” – pytał Filemon. „Powinnaś być wdzięczna!” „Jestem wdzięczna”, odpowiedziała żona smutnym głosem, „ale cały czas jestem ciekawa, kto wydoi krowy”.

Jeszcze przed zapaleniem światła Albert Kummer wstaje i zapina futro, które miał na sobie w czasie projekcji (mimo że w pomieszczeniu jest bardzo ciepło). Robi zaaferowaną minę i szybko rusza w stronę drzwi.

Albert: A więc Marco uważa, że ta historia wchodzi w skład pozostałego materiału. – Nie nie rozumiem.

Anna: Ja też nie rozumiem, o co mu chodzi.

Albert: Nawiasem mówiąc, znalazła go pani.

Anna: (smutna) Nie, nie znalazłam go.

Albert: Po południu lecę do Paryża, a potem do Los Angeles.

Anna: Do widzenia, doktorze Kummer. I szczęśliwej podróży.

Albert: Do widzenia, panno Bergman. Powodzenia w pracy. Proszę się odezwąć, kiedy będzie pani miała coś nowego do pokazania.

6

W głębi największej sali konferencyjnej nowego hotelu trwają przygotowania do pokazu mody, który ma się odbyć następnego dnia. Na podeście, który biegnie przez całą salę, ćwiczą dziewczęta pod kierunkiem cierpliwego i spokojnego choreografa. Zrezygnowany pianista gra ciągle te same takty. Panie i panowie osobliwego pochodzenia znajdują się w stanie gorączkowego, ale kontrolowanego podniecenia. Dominuje uprzejmość i duch zespołowości. Najwyraźniej chodzi tu o pokaz letnich sukien, strojów kąpielowych i tym podobnych. Próba reflektorów. Rozstawianie krzeseł. Na jednej z ciemno połyskujących ścian montuje się barwny gobelin o abstrakcyjnym wzorze. Za wielkimi oknami rozpościera się zimowy dzień, bez przerwy pada śnieg. Pośrodku tego zorganizowanego chaosu siedzi Katarina Egerman, głęboko zanurzona w fotelu, stopy oparła na stolku. Jest pochłonięta rysowaniem tuszem w bloku i objaśnia to starzającemu się i dość eleganckiemu szpakowatemu młodzieńcowi w przyciemnionych okularach. On niespokojnie spogląda na zegarek.

Katarina: Tak to powinno być, a nie tak. Zmienisz to do jutra, prawda, Kochany?

Kochany: Nie ma problemu, Katarino. Dzwoniłaś do Mediolanu?

Katarina: Do Bettiny zadzwonię po południu. Ona jedna potrafi powiedzieć, gdzie się to wszystko zapodziało. Był tam przecież strajk przez cały ubiegły tydzień, ale Bettina obiecała przysłać jeden komplet duńskim samolotem czarterowym, który miał przylecieć wczoraj, ale jest opóźniony z powodu śnieżycy. Rozmawiałeś z Paulem?

Kochany: Rozmawiałem z Paulem dziesięć minut temu. Czeka na cle na lotnisku od ósmej rano. Nie widział ani śladu jakiegokolwiek samolotu i nikt nie wie.

Katarina: W każdym razie nie wysyłamy im żadnych pieniędzy. (sposstrzega Petera) O Boże, już czas. Która godzina? Mój zegarek musiał stanąć albo się spóźnia. Zaraz idę. Musiałeś czekać? Tutaj jest jeden wielki bałagan. Jedna czwarta kolekcji nie dotarła. I co ty na to? Do widzenia, kochany.

Pospiesznie wstaje, całuje szpakowatego na pożegnanie i szuka swoich rzeczy. Peter pomaga jej nałożyć ciepłe, lekkie futro. Katarina macha na pożegnanie dziewczętom, choreografowi, pianiście, jakiejś dziennikarce, fotografowi i jeszcze kilku ważnym osobom. Spieszą się oboje do windy, która szczęśliwie właśnie się zatrzymała. Nadchodzi młoda kobieta o krzepkim i zdecydowanym wyglądzie, ciągnąc specjalnie skonstruowany kufer podróżny. Z tyłu widać jednego z hotelowych tragarzy.

Katarina: Ach, to ty. Wzięłaś wszystko?

Sekretarka: Nie, za chwilę przyjdzie Paul z resztą. Na cle mają dzisiaj pełne ręce roboty. Dzień dobry, Peter. Idziecie?

Katarina: Musimy iść na idiotyczny lunch do mamy Petera. Żona premiera chce ze mną porozmawiać o swojej garderobie. Peter jest tak podniecony, że kazał mi też pójść. Jesteśmy strasznie spóźnieni. Do widzenia, kochanie. Jak tylko stamtąd wyjdę, zaraz wracam.

Automatyczne drzwi windy niecierpliwie uderzyły tragarza hotelowego w plecy. Jadą w dół. Katarina jest wściekła, ale humor jej dopisuje.

Katarina: Muszę się czegoś napić.

Peter: Już jesteśmy spóźnieni.

Katarina: Muszę się czegoś napić.

Peter: Dostaniesz na miejscu.

Katarina: Muszę się napić czegoś mocnego, żebym mogła wytrzymać obcowanie z tymi ludźmi. Bądź tak miły, Peter, kochany. Akurat mamy bar. To potrwa dwie minuty.

Peter poddaje się, wzrusza ramionami i powściąga chęć zerknięcia na zegarek.

Peter: Freud twierdzi, że brak punktualności jest dowodem ukrytej agresji.

Katarina: U mnie nie jest ukryta.

Peter: Nie, ale u mnie.

Katarina: Ty przecież jesteś neurotycznie punktualny.

Peter: Właśnie dlatego.

Katarina: Teraz to nie rozumiem.

Peter: Nie szkodzi.

Pospiesznie przechodzą przez przestronny westybul, wchodzą do baru, który o tej porze jest dość zatłoczony. Katarina daje znak jakiemuś znajomemu, udaje jej się dostać drinka poza kolejką i wypija go na stojąco. Peter niczego nie chce, mimo ponawianej propozycji, pali papierosa i wygląda na udręczonego. Katarina płaci, nagle ożywia się, bierze Petera pod ramię i rusza z nim w stronę parkingu. Wreszcie jadą.

Katarina pali i prowadzi. Peter obserwuje swoją żonę, uważnia ją bada. Jej nastrój jest mieszaniną irytacji i dobrego humoru.

Peter: Siedzę i zastanawiam się, jak mógłby cię opisać jakiś powieściopisarz. „Ma około czterdziestu lat. Pomiędzy grubymi czarnymi włosami już prześwituje siwizna. Jest przystojna, korpulentna, jej ruchy są łagodne, ale energiczne”.

Katarina: „Jej twarz nosi piętno początków alkoholizmu, żądzdy władzy i namiętnej wulgarności”.

Peter: „Dziecięcej wrażliwości i szczwanej przebiegłości”.

Katarina: „Niezwykłej inteligencji”.

Peter: „Krótko mówiąc, wyrafinowana zołza”.

Katarina: „Udręka dla jej nadwrażliwego małżonka”.

Peter: „Który na próżno usiłuje zaspokoić jej kapryśne i obłąkane potrzeby”.

Katarina: Z czym by sobie łatwiej poradził, gdyby skupił się na swojej żonie.

Peter: Nieprawda.

Katarina: Zamiast marnotrawić swoje talenty na zbyt młode aktorki i malarki.

Peter: Nieprawda. Od erotyki człowiek staje się erotyczny. To abstynencja tworzy impotentą. Masz powód, aby się uskarżać?

Katarina: Panika! Panika!

Peter: To tylko strategia.

Katarina: Strategia musi mieć cel. Nie widzę celu.

Peter: Celem jest utrzymywanie cię w dobrym humorze.

Katarina: Nie wysilaj się, kochanie.

Peter: Ja ciągle się wysilam. Czasami myślę, że to jest moje jedyne prawdziwe zadanie w życiu. Mam na myśli utrzymywanie mojej potwornej, piorunującej, destrukcyjnej żony w dobrym humorze, tak aby nie niszczyła otoczenia.

Katarina: Otoczenia? Cóż to za cholerne słowo?

Peter: (śmieje się wściekły) Więc zniszcz mnie. Jeśli tak będzie lepiej.

Katarina: Mój biedny, mały Pietruszka. Wiesz przecież, że jestem jedyną kobietą dla ciebie.

Peter: To właśnie dlatego muszę się trochę relaksować z innymi dziewczynami.

Katarina: Aby się pocieszyć, kiedy Katarina jest niedobra.

Peter: To nie tak.

Katarina: Teraz będzie ta dobrze przygotowana złośliwość.

Peter: Potrafię ją przetłknąć.

Katarina: Tylko rozboli cię żołądek.

Peter: Proporcje, Katarino!

Katarina: Proporcje? Co za proporcje?

Peter: Muszę przywrócić proporcje.

Katarina: Pomiędzy tobą a rzeczywistością. Czujesz się taki niepokaźny! Nigdy w to nie wierzyłam.

Peter: Mam dość silną wiarę w siebie, ale istnieją dwa czynniki, ważne czynniki, które sprawiają, że czuję się beznadziejnie porzucony. Ty jesteś jednym z nich.

Katarina: A ten drugi?

Peter: Śmierć, Katarino.

Oboje śmieją się z tego. I są na miejscu.

Piękny, ale nieco podupadły zamek Charlotty Eggerman jest otoczony zaniedbanym parkiem poprzecinany krętymi kanałami. Tu i ówdzie marzną w zamieci marmurowe posągi, delikatne altanki chwieją się pod śnieżnym całunem. Przy bramie wartuje dwóch policjantów, którzy grzecznie proszą o dowód tożsamości, w zaroślach kryje się radiowóz, na poły zasłonięty. Na prawo od wejścia do zamku zaparkowano pięć czy sześć limuzyn. Ubrani w liberie szoferzy gawędzą, śpią, czytają gazety, jedzą kanapki albo po prostu siedzą. Dwa dodatkowe samochody policyjne wjechały na gazon obok schodów. Patrol jest uzbrojony w ciężką broń. Po następnym wylegitymowaniu Peter i Katarina wreszcie wchodzi do holu, gdzie uradowana i opalona starsza pani wita ich z wyraźnie wyczuwalnym miejscowym dialektem. Zabiera ich wierzchnie okrycia, informuje, że wszyscy już są, szczypie Petera w policzek, mówi, że schudł i wygląda jak wymoczek. Katarina zapewnia, że to jej wina, na co stara służąca odpowiada, że nie może słuchać takich głupot, Piotruś nie mógł dostać lepszej żony. Katarina czesze włosy i przegląda się w ogromnym barokowym lustrze. Peter ociera twarz ze śnieżnej wilgoci i poprawia krawat, ciemny dobrze skrojony garnitur zostaje wyszczotkowany, Katarina mówi cierpko, że to nie jest zabawne i Peter odpowiada, że zaraz dostanie drinka, potem idą przez duży zaciemniony pokój ze skrzypiącym, ciemno połyskującym parkietem do okrągłego salonu, który promieniuje światłem kinkietów, żyrandoli i kandelabrow. Natychmiast szybko podchodzą do Charlotty i przepraszają za spóźnienie. Peter całuje swoją matkę w usta, Charlotte serdecznie obejmuje synową i komplementuje ją za piękną suknię. Katarina odwzajemnia komplement, dostaje kieliszek i jest ogólnie rzecz biorąc odmieniona. Ponurą minę zastępuje sympatyczne ożywienie i łagodność. Peter promieniuje uśmiechem, uśmiechem pełnym szacunku, towarzyskim, zabawnym.

Premier Siegfried Bauer natychmiast wstaje z głębokiego fotela i opuszcza towarzystwo, z którym konwersował. To postawny mężczyzna w wieku lat sześćdziesięciu, o pięknej, otwartej twarzy, ciepłych brązowych oczach i gestych, zadbanych włosach bez cienia siwizny (umiejętnie ufarbowanych). Uśmiecha się serdecznie do Petera i Katariny i ściska ich dłonie. Spojrzeniem natychmiast rozbiera tę piękną kobietę. (Ona nie jest na to niewrażliwa).

Bauer: Trzydzieści dwa czterdzieści pięć sześćset dziesięć osiemdziesiąt sześć siedemset dwanaście piętnaście osiem trzysta dwanaście dwadzieścia!

Albert: (głos) Co to jest do cholery?

Obraz zatrzymuje się, ruch ustaje, teraz stoją tam: Siegfried Bauer, jego żona Hildegarda, podobna do Junony, Peter i Katarina. Stoją nieruchomo na oświetlonym ekranie stołu montażowego. Lampa zapala się z lekkim trzaskiem, silnik terkocze, słysząc cichy chrzęst w głośniku. Albert gapi się na obraz, potem na Annę.

Albert: Co to znaczy, psiakrew?

Anna: Marco nie znalazł żadnego aktora do roli premiera. Któregoś dnia jadł obiad w małej restauracyjce w Kopenhadze. I tam był jego premier.

Albert: Kelner?

Anna: Kierownik sali. Marco z miejsca go zaangażował za astronomiczną gażę.

Albert: Gdybym o tym wiedział, to –

Anna: Wydzwaniałiśmy jak szaleni, ale pan w ogóle nie odpowiadał, doktorze Kummer. Zapomniał pan o tym?

Albert: Ale przecież ten facet nie potrafi mówić!

Marco: Marco jednak zależało na takim wyglądzie. On robi różne miny i wymawia liczebniki, tak aby usta się ruszały. Marco myślał, że jakiś aktor z odpowiednim głosem podłoży repliki.

Albert: Czy te repliki są zapisane?

Anna: Nie.

Albert: O Boże, ratuj moją biedną duszę. O Boże.

Anna siedzi w milczeniu i patrzy na zastygły obraz. Marco właśnie (jak czarny, mglisty duch) nagle pojawił się w prawym rogu. Wygląda na wesołego, podnieconego, wyciąga prawą rękę w stronę kierownika sali czy też premiera. Na głowie ma dzierganą czapeczkę z chwiejącym się na czubku piórem, niczym antena. Albert ciężko wciąga oddech i nagle zaczyna się śmiać, trzęsąc głową i śmiejąc się.

Anna: Jedziemy dalej?

Albert: Tak, do licha. Czegoś równie zabawnego nigdy w życiu nie widziałem.

Anna uruchamia maszynę, która znowu rzeźbi, lampa nad stołem montażowym gaśnie. Peter całuje Hildegardę Bauer w rękę, jest to okazała dama, w której stroju i zachowaniu jest coś niepokojącego.

Bauer: Tysiąc dwa pięćdziesiąt jeden tysiąc trzysta czternaście siedemnaście pięć sześćdziesiąt sześć! Czterdzieści siedem pięćdziesiąt pięćdziesiąt trzy pięćdziesiąt cztery osiemset trzydzieści sześć?

Peter: Powinno być zabawnie.

Katarina: Bardzo chętnie, doktorze Bauer.

Bauer: Pięćset trzydzieści sześć pięćset trzydzieści siedem!

Wszyscy stojący wokół śmieją się z tego.

A zatem jest to jedno z owych głośnych spotkań u Charlotty Eggerman. Zaprasza się na dobrze skomponowaną, ze wszech miar wyszukaną konsumpcję, inte-

resującą konwersację i do tego nieco kultury w postaci domowego koncertu, recytacji lub spektaklu teatralnego. Sławy spotykają się ze sławami, zaproszenie jest zawsze zaszczytne, prominenci schlebiają sobie nawzajem dzięki samej swojej obecności. Charlotte Egerman jest oczywistym centrum, ostatnim, jakie jeszcze pozostało z upadłego i zaginionego świata.

Gości jest więc niewiele, ale za to wspaniałych: oprócz premiera, doktora Siegfrieda Bauera i jego żony Hildegardy w stylu Junony oraz Petera (który przecież jest synem pani domu) i Katariny, obecni są baron Wieland von Sack, wieloletni prezes LudwigsWerke, i jego żona Carla, krągła i żwawa włoska matrona. Z LudwigsWerke związany jest również Arthur Brenner, dyrektor naczelny, szczupły pan w dobrej kondycji, zawsze opalony, który ukrywa swoją arogancję za grubymi szklami okularów i ujmującym sposobem bycia. Jego żona Martha jest pediatrą i działaczką polityczną, a ponieważ jest młoda i rewelacyjnie piękna (to jego trzecia żona) jej rozrywki są tolerowane. Profesor Harry Hessreiter to stary przyjaciel Charlotty, wdowiec od wielu lat, nieco pochyłony i zaniedbany, ale akceptuje się go, ponieważ jest współlaureatem Nagrody Nobla. Georgio Cavallini właśnie przyjechał do miasta po bardzo udanych występach gościnnych w nowojorskiej Metropolitan. Zaraz nabawił się silnego przeziębienia, co niepokoi tego wielkiego człowieka, ponieważ w niedzielę ma śpiewać don Giovanniego w Teatrze Narodowym. Ale żeby z tego powodu nie pojawił się na przyjęciu u Charlotty, byłoby jednak nie do pomyślenia. Jego żona Elsa jest wiele lat starsza od swojego pięknego i sławnego męża. Jest bardzo chuda, jakby wydrążona, ma krótko ostrzyżone włosy i dziecięcy profil. Mruży za szklami okularów jasnoniebieskie, bystre oczy. Doktor Karl-August Piltz jest redaktorem naczelnym czołowego dziennika w mieście, kolekcjonerem i miłośnikiem sztuki, lowelasek o sporym rozgłosie, człowiekiem na progu swoich najlepszych lat i kariery politycznej, na pozór serdeczny, sympatyczny i dzielny. Przyprowadził swoją żonę Evę, ciężko chorą na raka – chodzący szkielet, mocno umalowana, w peruce i ze sztucznymi rzęsami. Śmieje się ochryple i często, pali bez przerwy i ma zimne, czarne nieczym węgiel oczy.

Pomiędzy gronostaje wkradły się trzy koty: to Ferdinand Dörfler, wybitny kreator mody i scenograf, który pomagał Charlotte przy aranżacji i kostiumach do jej przedstawienia teatralnego. Jego przyjaciel Max Gruber, tancerz w Teatrze Narodowym, nie jest utalentowany, jedynie piękny, niebawem pójdzie na emeryturę. Ci dwaj panowie, którzy mimo nieskazitelnej elegancji stroju i nienaganych manier nieco odstają od towarzystwa, tworzą całość z sensacyjnym dysonansem stylistycznym – Eriką Ernst, prostytutką. Jak tej przedstawicielce świata spoza Werony udało się dostać do salonu Charlotte Egerman, pozostaje dla wszystkich zagadką. Nikt nie pomyśli, że ta stara aktorka (z bogatym doświadczeniem w doskonałości nudy) świadomie przyprowadziła kompozycję swoich gości tą zbyt młodą, zbyt kurtuazyjną damą, przyjaciółką tancerza, wiernym alibi dla regularnie powtarzających się miłosnych podróży starego scenografa i starzejącego się tancerza. Judith, piękna sekretarka Charlotte, i jej młody Ariel (który szczerymi spojrzeniami wodzi za swoim idolem) dopełniają tego towarzystwa, które gawędząc konwencjonalnie, wchodzi do wysoko sklepionej jadalni, gdzie sześciu tymczasowo zatrudnionych służących pod opryskliwym nadzorem mistrza ceremonii podaje aromatyczną zupę z homarów. Wysokie okna z barwnymi

mozaikami trzymają na dystans zimowy dzień. Stłumiony blask mosiężnej korony i srebrnych kandelabrow spowija pokój w kojące światło. Poczucie bezpieczeństwa, ład, piękno. Dziwne, że to wszystko zakończy się krwawym chaosem.

Mówi premier, nie, on nie przemawia, on wyklada, siedzący bliżej milkną, zmuszeni do słuchania. Szlachetne oblicze doktora Bauera zmienia się, na czole nabrzmiewa żyła, oczy mętnieją, przy wściekłych i sarkastycznych sformułowaniach ukazuje zęby. Coraz więcej gości przerywa konwersację, twarze zwracają się ku mówiącemu, ten wybitny polityk ma publiczność, zupa z homarów stygnie.

Albert: Usunęła pani dźwięk, panno Bergman.

Anna: Pozostawienie dźwięku było bez sensu. On mówi tylko liczby. Od czasu do czasu Marco krzyczy do niego, aby zmienił wyraz twarzy. Mam tutaj taśmę, jeśli pan chce tego posłuchać.

Albert: Nie, nie, na miłość boską, nie.

Anna: Mam coś innego, co być może jest interesujące. Proszę chwilę poczekać, szybko przewinę.

Obrazy przelatują z potrójną prędkością, ciągle przemawia premier, a goście słuchają z różnym stopniem zainteresowania. Pojawia się zbliżenie Petera. Anna zatrzymuje szybkie przewijanie, maszyneria znowu chrzęści i odmierza swoje pokorne dwadzieścia cztery klatki na sekundę – zbliżenie słuchającego Petera.

Anna: Znalazłam taśmę z instrukcją Marco, którą wmontowałam w ten obraz.

Marco: (do obrazu Petera) Uważam, że to w tym miejscu Peter postanawia zabić premiera doktora Bauera. To jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że Peter go podziwia, ale nagle opanowuje go nieodparta nienawiść. To nie zależy od tego, co Bauer mówi, ale jak mówi.

Peter: Tego nie rozumiem.

Marco: Peter nie jest człowiekiem niezależnym i dlatego ma skłonność do cynizmu. Ogólnie biorąc, jest mu obojętne, jakie dogmaty obwieszcza Bauer. On sam nie ma żadnych wizji, jego przynależność polityczna jest podyktowana korzyścią. To wyraźny pragmatyk. (gwałtownie) *Peter nienawidzi Bauera, ponieważ on zmusza do słuchania!* Nienawidzi go, dlatego że ma on władzę nad myślami i uczuciami gości. Rozwściecza go to, że Bauer ma silny, dźwięczny głos, uważa, że ten człowiek jest nie do zniesienia, ponieważ on nie słucha, ponieważ jest przebiegły, bezwzględny i bystry. Ogarnia go nieprzewidywana potrzeba uciszenia tego ogłuszającego ostrzału!

Peter: (z uporem) Ale ja nie mogę zagrać tej sceny, jeżeli nie wiem, co Bauer mówi.

Marco: (niecierpliwie) Co on mówi? Skąd miałbym to wiedzieć, przecież to nieważne.

Peter: Nie dla mnie.

Marco: Skądże! Powiedzmy, że cytuje Immanuela Kanta, który twierdzi, że prawo i etyka nie mają ze sobą nic wspólnego. Być może uważa, że najgłębszego i najbardziej naturalnego poczucia sprawiedliwości należy szukać u poszczególnych jednostek, a nie w kodeksach. Może mówić, że na przykład ten, kto chce

zabić terrorystę własnymi rękami, powinien mieć prawo to zrobić, ponieważ to w najwyższym stopniu odpowiada wyobrażeniom tego pojedynczego człowieka o tym, co jest słuszne. Być może głosi swoje najgłębsze przekonanie, kiedy mówi, że świadomość prawna społeczeństwa zależy od jego warunków życiowych, a nie od paragrafów w kodeksach.

Peter: Jeśli tak mówi, to powinno się go zastrzelić.

Marco: (śmieje się) Chwileczkę! Być może głosi coś odwrotnego. Walczy o obiektywną sprawiedliwość, czystą nieskałaną sprawiedliwość. Utrzymuje, że fundamentalne teksty prawnicze są destylatem najgłębszych przekonań ludzkiego umysłu, że wyrażają wieczne marzenie o równowadze pomiędzy potrzebą a zaspokojeniem. Być może wyjaśnia, że demokracja jest jedyną formą społeczną, która jest prawdziwsza i większa niż pojedynczy człowiek i że państwo praworządne w pierwszej kolejności musi stanąć w obronie samorealizacji jednostki.

Peter: Teraz jestem w kropce.

Marco: (śmieje się) Posłuchaj jego głosu i jego intonacji. Poczuj swoją bezsilność.

Peter: Bezsilność? Jestem przecież prawą ręką dyrektora naczelnego. Chyba nie poczuje bezsilności, ja tego nie rozumiem.

Marco: (nagle rozwścieczony) Jeżeli tak cholernie mało rozumiesz ze swojej roli, to nie powinienesz jej brać.

Peter: Zaakceptowałem rolę, która jest w scenariuszu, a my go nie przestrzegamy. Mogłbym zakończyć jutro, nie, natychmiast, i zaskarżyć pana o złamanie umowy, panie Hoffmann. Nie życzę sobie, aby na mnie wrzeszczano. Jestem niezależnym, myślącym człowiekiem, chcę objaśnień dla moich działań. Nie jestem marionetką jak niektórzy.

Marco: (krzyczy) Idziemy na lunch!

Taśma filmowa biegnie dalej i pokazuje teraz stary teatr dworski. Nastąpiła przerwa w przedstawieniu teatralnym, akurat przed piątym aktem *Burzy* Szekspira. Kurtyna jest opuszczona i goście cicho rozmawiają. Siedzą na półkoliście ustawionych siedzeniach, wyłożonych aksamitem, ale bez oparcia. Wszędzie świecą kinkiety, które odbijają swoje światło w wysokich lustrach pomiędzy obitymi draperią ścianami i marmurowymi kolumnami. Na pokrytym malowidłami suficie błyszczy pięć małych kryształowych żyrandoli. Kurtyna, która przedstawia klasyczny pejzaż, otoczony kwiatowymi girlandami, jest silnie oświetlona od strony rampy. Judith ukazuje się w małych drzwiach, które prowadzą na scenę i mówi z uśmiechem, że wszystko jest gotowe.

Akurat kiedy kurtyna idzie w górę, dyrektor naczelny LudwigsWerke, Arthur Brenner, pochyla się do Petera i szepta, że premier życzy sobie spotkać się z nimi w gmachu rządu jutro o godzinie dziesiątej, wraz z prezesem baronem von Sack.

A potem kurtyna idzie w górę.

Charlotte występuje w roli Prospera, spowita w swój czarodziejski płaszcz. Młody Valentin, przebrany za Ariela, stoi u jej boku. Dekoracja jest stara i pięknie namalowana, przedstawia górzysty brzeg i falujące morze.

Prospero:
Mój plan wydaje się bliski zwieńczenia.
Czary nie słabną, duchy są posłuszne.
Zmniejsza się ciężar chwil na barkach czasu.
Która godzina?

Ariel:
Dochodzi już szósta,
A o tej porze nasz trud miał się skończyć.

Prospero:
Tak ci przyrzekłem, gdy wznieciłem burzę.
Powiedz mi, duchu, co się dzieje z Królem
I dworzanami?

Ariel:
Nie ruszą się stąd, póki ich nie zwolnisz.
Twój czar działa na nich
Z tak wielką mocą, że gdybyś ich ujrzał,
Zmiękłoby twoje serce.

Prospero:
Tak uważasz?

Ariel:
Moje by zmiękło, gdybym był człowiekiem.

Prospero:
Zmięknie i moje. Skoro ty, złożony
Z powietrza tylko, potrafisz im współczuć,
To ja, z tej samej ulepiony gliny,
Tymi samymi co oni pasjami
Targany – miałbym pozostać nieczuły?
Choć mnie ich zbrodnie ugodziły w serce,
Odpycham własny gniew i biorę serce
Szlachetniejszego rozumu. Nie pomsta,
Lecz przebaczenie jest drogą prawości.
Idź, Arielu, zwolnij ich. Zdejmę z nich czary,
Zwrócę im rozum – będą znowu sobą.

Ariel:
Lecę i zaraz ich tutaj sprowadzę.

Ariel-Valentin porzuca Prospera-Charlotte, powściąga gwałtowny ruch, stoi w milczeniu w ciemności za namalowanym tłem, z głową opuszczoną, podparty pod boki. Kilku aktorów w fantastycznych kostiumach i maskach wyłania się nierealnie nieruchomych, zasłuchanych.

Prospero:

*Elfy wzgórz, jezior, gajów i strumieni,
I wy, co stopą nie czyniącą śladu
Muskacie piasek, goniąc odpływ fali
I uciekając, gdy Neptun powraca;
Chochliki, które cieszy dzwon wieczorny,
Sygnał, że można przy świetle księżyca
Zabawiać się w sadzenie muchomorów
Lub w wytwarzanie krągłych kepek trawy
Tak gorzkiej, że jej nie ruszają owce;
Przy waszej, duchy, pomocy – choć takie
Wątpli jesteście – zaćmiewałem słońce,
Budziłem dzikie wichry, podżegałem
Morze i niebo do ryczącej wojny;
Grzmoty ponure uzbrajałem ogniem
I rozszczepiałem dąb Jowisza jego
Własnym piorunem; poruszałem z posad
Masywy lądów, rwałem z korzeniami
Sosny i cedry; budziłem w mogiłach
Zmarłych i z grobów odwaląłem głązy,
Aby wyjść mogli – taką to wszechmocną
Władałem sztuką! Lecz dziś się wyrzekam
Owey surowej magii...*

Mały zespół złożony z lutni, fletu, oboju i wiolonczeli z wolna rozpoczyna grać uroczystą muzykę. Aktorzy zaczynają bezszelestnie i nieco upiornie poruszać się w ciemności. Ariel-Valentin zwraca twarz w stronę światła i patrzy na swojego Prospera.

Prospero:

*gdy wywołam –
co właśnie czynię – muzykę niebiańską.
Aby jej zwiernym czarem na ich zmysły
Wpłynąć jak zechcę – wtedy złamię łaskę
I w trzewiach ziemi zagrzebię, a księgę
Zatopię w morzu, głębiej niż potrafi
Sięgnąć najdłuższa sonda.*

Prospero-Charlotte upadła na kolana, przed nią niechętnie otwiera się skrzypiąca zapadnia starego teatru, przejmujący ziąb wieje z ciemnej dziury. W dole widnieje para otwartych rąk, to rekwizytor, który ostrożnie odbiera czarodziejską różdżkę i wielką księgę z magicznymi znakami. Przez moment Charlotte jakby widziała w ciemnym dole bladą, uprzejmą twarz Conrada, czuje chwilowy zawrót głowy, odwraca twarz i opiera się dłońmi o szerokie, ciemne deski sceny. Aktorka natychmiast opanowuje swoją konfuzję i podnosi się. Ariel-Valentin wolno wkracza na scenę. Prowadzi ze sobą Alonsa, Sebastiana i Antonia. Stoją jakby uśpieni wewnątrz kręgu narysowanego przez Prospera. Zmienia się chara-

ktę muzyki, staje się ona łagodna i oddala się. Prospero-Charlotte bardzo wzruszona patrzy na swoich aktorów.

Prospero:
Poważna muzyka, która najlepiej
Koi zbląkaną myśl, niech wam uleczy
Bezużytecznie wrzące w czaszkach mózgi!
I jak poranek, rozrzedzając mroki,
Wkrada się w miejsce nocy, tak ich zmysty,
Budząc się z wolna, rozpraszają gęsty
Opar obłędu, który spowił rozum.

Nagle starsza pani odwraca się ze złośliwym uśmiechem w stronę swojego Ariela-Valentina.

Prospero-Charlotte:
Stamtąd usunę się do Mediolanu,
Gdzie już co trzecia z moich myśli będzie
Myślą o grobie.

Ciche zdumienie ogarnia aktorów. Charlotte nie zwraca uwagi na ich niepokój. Valentin odpowiada jej uśmiechem, tak jakby rozumiał. Aktor, który gra Alonsa, próbuje jednak swojej repliki:

Alonso:
Pilno mi usłyszeć
Dzieje twego życia – nadzwyczajna
Musi to być opowieść.

Prospero-Charlotte nie od razu odpowiada, nadal uśmiecha się do Valentina, tak jakby zapomniała, gdzie się znajduje. Kiedy Alonso wykonuje niepewny gest, natychmiast zwraca się do niego.

Prospero-Charlotte:
Ach, oczywiście, przepraszam. Zapomniałam się.
(podejmuje grę) Obiecuję,
że ją usłyszysz całą i że jutro
spokojne morza i pomyślne wiatry
Pozwolą nam się połączyć bez trudu
Z resztą królewskiej floty.

Potem odwraca się jeszcze raz w stronę Ariela-Valentina i robi krok w jego stronę, unosi prawą rękę, tak jakby chciała go dotknąć, ale ramię bezsilnie opada.

Prospero-Charlotte: (do Ariela)
Mój Arielu,

*To już ostatnie zadanie – a potem
Bądź wśród żywiołów wolny i szczęśliwy!
Żegnaj, Arielu!*

Ariel wydaje dziwny okrzyk, unosi ramiona nad głową, rzuca się w stronę morskiego tła, które go pochłania. Prospero-Charlotte zwraca się z ukłonem ku swoim partnerom.

*Prospero-Charlotte:
Proszę, wejdźcie wszyscy **

Wszyscy opuszczają scenę i kurtyna opada.

Goście na małej widowni serdecznie biją brawo. Pojawia się jednak pewna wątpliwość: Co się stało z epilogiem Prospera? Być może aktorka przeskoczyła połowę piątego aktu? Czy coś się stało? Panna Judith, młoda sekretarka Charlotte, wychodzi przed kurtynę i wyjaśnia, że pani Egerman czuje się nie najlepiej, to nie groźnego. Profesor Hessreiter natychmiast pospiesznie udaje się na scenę w ślad za Judith. Inni goście rozmawiają cicho, powoli opuszczają teatr.

Pani Egerman siedzi w fotelu w głębi sceny. W ręce trzyma kieliszek wina, jest w dobrym humorze i macha odmownym gestem w stronę aktorów, którzy zgromadzili się wokół niej.

Tło ze skałami i morzem znika w ciemnościach sznurowni i odsłania głębie sceny, daleko pod krągłą ścianą stoi Valentin. Liczne rampy spowijają scenę mglistym, pozbawionym cieni światłem. Profesor Hessreiter pyta, co się dzieje. Charlotte mówi, że czuje się znakomicie, prosi aktorów, by natychmiast się przebrali, tak aby mogła zaprosić na coś dobrego, rozgląda się za Valentinem, dostrzega go w oddali pod ścianą, daje znak, żeby zaraz do niej podszedł.

Charlotte: Zakręciło mi się tylko trochę w głowie, to chyba nie jest takie dziwne. I przeskoczyłam przez wszystkie wyjaśnienia, które są nudne i przesłałam wprost do ostatniej repliki. Nie przejmuj się, Harry. Lepiej idź i zajmij się moimi gośćmi. Powiedz im, że starsza pani chwilkę odpocznie. Pan Valentin zostanie i mi pomoże, prawda?

Wzięła młodego aktora za rękę i trzyma ją w silnym uchwycie. Profesor Hessreiter, Judith i Peter wycofują się wraz z pozostałymi postronnymi osobami. Teraz na scenie jest tylko Charlotte i aktorzy.

Charlotte: Zapomniałam tekstu, kiedy upadłam na kolana.

Valentin: (nie odpowiada)

Charlotte: Nigdy nie potrafiłam grać z suflerem.

Valentin: Ja też nie.

Charlotte: Ach tak, pan też nie?

* Wszystkie cytaty z W. Shakespeare, *Burza*, przekład S. Barańczak, Kraków 1999. (przyp. tłum.).

Valentin: To wszystko było wielkim przeżyciem.

Charlotte: (uśmiechnięta) Chciałabym móc powiedzieć to samo.

Valentin: Nie rozumiem.

Charlotte: Wie pan co, panie Valentin. Kiedy stałam tam i wygłaszałam mój monolog, to krępował mnie wyraźny, złośliwy głosik, który szeptał do mnie.

Valentin: A co szeptał?

Charlotte: (uśmiecha się) Zła publiczność, zła sztuka i zły babsztyl. Chodźmy już.

Około piątej popołudniu goście opuszczają przyjęcie u Charlotte. Katarina wraca na swoją próbę, Peter musi towarzyszyć premierowi i jego małżonce w ich czarnej lśniącej limuzynie, eskortowanej przez samochód policyjny. Obok szofera siedzi ochroniarz.

Hildegard Bauer: Pańska matka jest naprawdę wielką artystką, panie Egerman. Wielką artystką i cudownym człowiekiem. O tak, czas leci. Pamiętam, jak podziwialiśmy ją, czekaliśmy całymi godzinami przy wejściu na scenę, aby móc ujrzeć ją w przełocie po przedstawieniach. Mój mąż był ambasadorem w Londynie w latach pięćdziesiątych i wtedy nas odwiedzała. Zostaliśmy przyjaciółmi na całe życie, prawda Siegfried?

Siegfried Bauer: (potakuje) Siedemdziesiąt pięć osiemset trzynaście.

Hildegard: To cudowne móc delektować się jej sztuką. To jest wspomnienie na całe życie. Bardzo się pan spieszy, panie Egerman?

Peter: Nie, bynajmniej.

Hildegard: To musi pan pójść z nami na naszą lekcję.

Peter: Lekcję?

Hildegard: Siegfried, ja i nasz syn bierzemy lekcje strzelania z pistoletu, trzy razy w tygodniu. Czy to nie przekomiczne?

Peter: Czy to konieczne?

Hildegard: Musimy umieć się bronić. Oczywiście nasz syn uważa, że to szalenie pasjonujące. Policja twierdzi, że ma on fantastyczny talent do strzelania i że powinien startować w igrzyskach olimpijskich.

Peter: Ile lat ma syn?

Hildegard: Dopiero dwanaście. Więc chyba nadal jest trochę za młody. Najważniejsze, że młodzież czymś się interesuje. Jaką uroczą ma pan żonę, panie Egerman.

Peter: Katarina ma wiele wdzięku.

Hildegard: Doszliśmy do porozumienia. W przyszłym tygodniu przedyskutujemy problem mojego stroju, pańska małżonka ma mnóstwo pomysłów. Jutro będę na jej pokazie mody. Pan będzie również, panie Egerman?

Peter: Niestety, nie mogę. Doktor Bauer umówił się z LudwigsWerke na dziesiątą.

Siegfried Bauer: Pięć czternaście osiem dwanaście dziesięć!

Peter: To wspaniałomyślne ze strony doktora Bauera, że pozostawił do naszej dyspozycji swój drogocenny czas.

Hildegard: Siegfried mówi, że jest pan pozłacanym oczkiem w głowie, panie Egerman.

Peter: Kierownictwo firmy okazuje mi wielkie zaufanie.

Hildegard: Jak się człowiek czuje, kiedy ma wytyczoną karierę w tak młodym wieku?

Peter: Czuję się wielką odpowiedzialność, pani Bauer.

Hildegard: Mój mąż często mówi, że powinien pan poświęcić się polityce, panie Eggerman. Uważa, że miałby pan przed sobą świetną przyszłość.

Peter: Doktor Bauer jest zbyt uprzejmy.

Hildegard: Jakkolwiek by było musi pan zobaczyć, jak Wolfgang włada pistoletem.

Peter: Czy on jest zawsze uzbrojony?

Hildegard: My jesteśmy zawsze uzbrojeni, panie Eggerman.

Peter: Nigdy się pani nie boi, pani Bauer?

Hildegard: Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego.

W najniższej piwnicy siedziby policji mieszczą się ostro oświetlone betonowe tunele strzelnic. Wolfgang jest chudym dwunastolatkiem w swetrze i w dżinsach. Włosy ostrzygł według ostatniej mody i ma wesołe, brązowe oczy ojca. Kapitan policji uwalnia jego rodziców od wierzchniej odzieży. Siegfried Bauer zdejmuje marynarkę, sprawdza swoją naładowaną broń, którą nosi w pochwie pod lewą pachą. Pistolet pani Bauer wyłania się z jej pięknej torebki z krokodylej skóry. Każdy dostaje słuchawki ochronne, doktor Bauer i jego żona zajmują swoje pozycje i tak zaczyna się strzelanina pod policyjnym nadzorem. Młody Wolfgang odwraca się do Petera i uśmiecha się wesoło.

Pokaz się skończył, zapala się światło i Albert Kummer wstaje od stołu montażowego. Anna zwija rolkę i kładzie ją na swoje miejsce do pudełka wraz z taśmą magnetyczną. W protokole notuje starannym charakterem pisma, że Albert Kummer dokonał przeglądu numeru takiego a takiego, data taka a taka. Albert nałożył płaszcz, stoi nie zdecydowany przy drzwiach.

Anna: Doktorze Kummer?

Albert: Tak.

Anna: Pytał pan, czy chciałabym wyjść za pana.

Albert: (nerwowo) Ach tak!

Anna: Sporo myślałam o pańskiej propozycji.

Albert: To miło.

Anna: Chętnie za pana wyjdę, doktorze Kummer. Jest tylko jeden warunek.

Albert: Z góry ten warunek akceptuję.

Anna: Niech pan nie będzie taki pewny.

Albert: No. Niech pani mówi.

Anna: Musi mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się Marco.

Albert: To jest twardy warunek.

Anna: Muszę z nim porozmawiać.

Albert: Nie mogę.

Anna: No tak. Nie.

Albert: Nie mogę. To byłoby złamanie obietnicy.

Anna siada na swoim krześle przy stole montażowym, skrobie paznokciem palca wskazującego płamkę rdzy na metalu.

Anna: (uśmiecha się) W każdym razie chyba możemy zjeść razem obiad.

Albert podchodzi do niej i stoi obok, kładzie rękę na jej ramieniu.

Albert: Nagle odczuwam tliwość dla wszelkich możliwych zjawisk. To może być zgrzybiałość, nie wiem. Czasami jest to bolesne, najczęściej jest, jakby to powiedzieć – podniosłe. Nie jestem szczególnie sentymentalny Anno, proszę w to nie wierzyć, wprowadzę płaczę w kinie, ale to inna sprawa. Nie, nie jestem sentymentalny, wszystko widzę strasznie wyraźnie: kłamstwa, zdrady, błazeństwa, ależ tak, zarówno innych, jak i moje własne. Mimo to mogę poczuć nagłą tliwość dla człowieka, który kłamie mi prosto w twarz. Chcę objąć tego idiotę i unieść w moich ramionach, nosić go wkoło i powiedzieć mu, aby przestał pleść bzdury. Nie stoję tutaj i nie reklamuję siebie samego, proszę tak nie myśleć, Anno.

Anna: Ja tak nie myślę.

Albert: Czasami ogarnia mnie nieodparta chęć śmiechu, nie dlatego, że byt jest specjalnie komiczny, nie, naprawdę tak nie myślę, raczej wprost przeciwnie. Śmieję się, ponieważ lubię rzeczywistość, jakkolwiek szalona by była. Weześniej bałem się wszystkiego, Anno, to było prawie nie do zniesienia: kury, koty, psy, potrawy, podróże, otwarte miejsca, ciasne windy, samoloty, choroby, gazety. Ale przede wszystkim bałem się najrozmaitszych ludzi. Obecnie na starość strach zniknął. Rozpłynął się jak chmura deszczowa nad morzem, jeśli wolno mi wyrazić się nieco poetycko. Możesz sobie wyobrazić, Anno, to złośliwe dziewczątko, z którym objechałem – ta zimna kurewka –

Anna: (po przerwie) Tak.

Albert: Okrutne zwierzątko, które w każdej chwili próbowało dobrać się do mnie i mojego dobytku. To było naprawdę dość wzruszające. Marco i jego przekłety film, to również jest wzruszające. Te wszystkie wysiłki. Każdy metr, każda klatka w tej nieskończonej kawalkadzie woła do każdego: zrozum mnie, polub mnie, zrozum mnie. (pauza; rozmyśla; fajka skwierczy) Gdzieś czytałem o pocie, który popołudniami upijał się. Szedł do biurka i pisał nieprzerwanie przez czternaście godzin. Z tego powstawał tomik wierszy. Bez przeczytania tego, co napisał, wysyłał to wszystko do swojego wydawcy, który prędko i bez czytania wierszy przesyłał je dalej do drukarni. (pauza) Sądzę, że Marco postępował w taki sam sposób. Filmował wszystko, co mu przyszło do głowy. Uzgodniony scenariusz porzucał, dla niego to była martwa materia, wielokrotnie przerabiana i dokładnie przygotowana. Czuł tylko obojętność i znużenie wobec tych wszystkich finezyjnie poukładanych scen. Czuł obrzydzenie do swojej artystycznej przemądrzałości. A jednak nie jest on improwizatorem, nawet w najmniejszym stopniu. Opanowywał go lęk i bezsilność, kiedy był zmuszany do szybkich i nagłych decyzji. To dlatego ten film jest taki niemożliwy. Marco rzucał samemu sobie wyzwanie i doznawał niepowodzenia. Poddawał się swoim impulsom i te impulsy prowadziły go w złą stronę!

Anna: Znalazłam straszliwą scenę – leżała schowana w wybrakowanym materiale – zapomniałam o niej – dwa tygodnie chorowałam w czasie zdjęć. To jest

okropna scena i nigdzie nie mogę jej włożyć w filmie. Jeśli ona pasuje, jeśli jest ona serio wymyślona, a nie jest jedynie szaloną fanaberią, to wtedy – Tak, proszę mi wybaczyć, że gadam, teraz pokażę panu tę scenę, doktorze Kummer. Kopia wygląda strasznie, wczoraj w nocy upuściłam to wszystko na podłogę. Przez kilka godzin próbowałam zaprowadzić w tym bałaganie porządek.

Światło stopniowo gaśnie we frywolnych, burdelowych kinkietach sali projekcyjnej. Ozdobiona złotymi frędzlami kurtyna rozsuwa się z astmatycznym chrapaniem. Albert Kummer, który siedział pochylony do przodu, obserwując zmartwioną twarz Anny i jej smutne oczy, teraz odchyła się do tyłu w wytartym fotelu i zapala fajkę. Mknie rozbiegówka z ostrymi znakami i cyframi, potem na chwilę zapada całkowita ciemność, teraz na prześwietlonym obrazie widać ogromny gmach szpitala, uderzenie klapsa i kamera nagle panoramuje na dwóch mężczyzn, którzy pośpiesznie zbliżają się piaszczystą promenadą otoczoną wysokimi, nagimi drzewami. Jednym z mężczyzn jest Peter Egerman. Drugim jest jego przyjaciel w tym samym wieku, profesor i ordynator Mogens Johannesen. Podechodzą do stojącego na uboczu domu na skraju ciemnego lasu sosnowego. Wysoki mur oddziela dom od krętej asfaltowej drogi.

Mogens: Dawniej była tutaj portiernia. Kiedy główne wejście przeniesiono, przerobiliśmy ją na specjalny pawilon. Obecnie leży tutaj tylko twój brat.

Professor Johannesen zatrzymuje się na schodach i odwraca do Petera, wyciągając z kieszeni duży pęk kluczy i szuka tego właściwego.

Mogens: Nie mogę ci przeszkodzić w zobaczeniu brata, ale powinienem cię ostrzec. Jesteśmy absolutnie bezsilni. Dostaje środki uspokajające w ilości, która zlamalaby każdy normalny opór, wydaje się, że jest całkowicie odporny na leczenie. Jego furia jest niepojęta. Pomiędzy napadami jest komunikatywny, ma nawet pewną świadomość choroby. Nie wiemy nawet, co wyzwała te napady agresji. (pauza) Czy mogę zapytać cię o powód twojej wizyty?

Peter: Jest moim bratem. Moim bliźniakiem. Nie odwiedzałem go od dwóch lat.

Mogens: Musisz wiedzieć, że on rozrywa wszystko, czego dotknie. Jeśli ma możliwość, to bije pielęgniarzy. Musi mieć związane ręce i nogi.

Peter: Wiem.

Profesor zamknął zewnętrzne drzwi i wchodzi do wąskiej sieni. Następnie do nieumeblowanego przedpokoju z okratowanymi oknami ze zbrojonego szkła. Czuć silny smród i gorąco. Pielęgniarz otwiera drzwi do krótkiego korytarza, wita profesora i zdumiony wpatruje się w Petera.

Mogens: To jest inżynier Egerman, a to pan Rot, on jedyny ma cierpliwość do Antona.

Rot: Bliźniak, prawda?

Peter: Nie jest aż tak źle, żeby nie można było nas dość łatwo odróżnić. Przynajmniej w domu. W szkole było trudniej.

Mogens: Co słychać?

Rot: Dzisiaj jest dość spokojnie.

Mogens: Może pan stanąć w korytarzu, a tymczasem inżynier Egerman odwiedzi swojego brata. Drogi Peterze, ja się pożegnam, za kwadras mam obchód. Jeśli będziesz czegoś ode mnie chciał, to wieczorem jestem w domu. Możesz dzwonić, praktycznie rzecz biorąc, do późna w nocy.

Obaj przyjaciele ściskają sobie dłonie i profesor oddala się. W tym czasie pielęgniarz otwiera drzwi do wewnętrznego pokoju. Peter wchodzi. Cella jest obszerna, czworobok o boku około pięciu metrów, na środku stoi masywna, drewniana pryzma, na niej leży nagi mężczyzna przykryty plastikowym pokrowcem, na nogach i rękach ma żelazne łańcuchy. Po prawej dłuższej ścianie znajduje się zabite okno. Mężczyzna leży nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Rot: Przepraszam za zapach. Czasami szoruję sam, ponieważ sprzątaczkі odmawiają. Staram się utrzymywać go w czystości. Właściwie to on lubi, że ja go myję, golę i strzygę mu włosy. Nie wiem, czy śpi, zdarza się, że udaje. Proszę nie podchodzić zbyt blisko, on może pana zabić albo ugryźć czy napluć na pana. Proszę stanąć tam, kiedy otworzy oczy, to pana zobaczy. Z trudnością znosi światło. To dlatego jest tu tak ciemno. Reaguje na silny dźwięk. Proszę mówić cicho. Poczekam w korytarzu. W razie czego proszę natychmiast wołać.

Rot wychodzi i zamyka drzwi. Mężczyzna na pryzcy od razu otwiera oczy i uśmiecha się do Petera.

Peter: Właściwie czujesz się dość dobrze, prawda?

Anton: Czuję się fantastycznie, chyba widzisz? Ale nie mamy wiele czasu, Peterze. Przyszedłeś tutaj, aby zająć moje miejsce.

Peter: (drwiąco) Jak na to wpadłeś?

Anton: Kiedy ma się to, co ja, wie się najwięcej.

Peter: Jak rozumiem, masz jakiś plan.

Anton: (uśmiecha się) Tak, dość prosty.

Peter: No.

Anton: Dostanę ataku, a ty zwołasz tego tam dobrodusznego idiotę. Kiedy przyjdzie, walniesz go łeb, weźmiesz jego klucze i otworzysz moje kajdanki, potem ja wezmę twoje rzeczy, a ty położysz się na moim miejscu. Pójdę do profesora i powiem, że Anton dostał ataku i zabił tego biednego Rota. (innym tonem) Musimy tylko dopilnować, żeby Rot nie zdążył nacisnąć na alarm, jest tam za drzwiami.

Peter: Leżałeś tutaj dość długo.

Anton: Wyglądam jak każdy inny, prawda?

Peter: Oczywiście. Masz nos, usta i oczy tak samo jak wszyscy inni.

Anton: Jestem ludzko podobny do normalnego człowieka.

Peter: Trudno uważać, że jest inaczej.

Anton: Czy masz jakieś instrukcje?

Peter: (drwiąco) Tutaj, w prawej kieszeni marynarki znajdziesz kopertę ze szczegółowymi instrukcjami. Zawsze z nas obu ty byłeś tym sprytniejszym.

Anton: Podejdź bliżej, Peterze! Muszę przez cały czas podnosić głowę, aby móc cię widzieć, a to jest wyczerpujące.

Peter: Tak jest dobrze?

Anton: Nie, bliżej. Jesteś prawdziwym humorystą, czyż nie tak? Teraz mogę cię widzieć. Nie pochylaj się tak blisko. Mogę cię dosięgnąć. A to nie byłoby dobrze.

Albert i Anna ponownie widzą potężny kompleks szpitalny nadal prześwietlony, obraz odnajduje mężczyznę, który pośpiesznie odchodzi, wieje wiatr w nagich czarnych drzewach.

Albert: Co teraz, to już koniec?

Anna: Nie, jest jeszcze jedna scena.

Spętany mężczyzna dostał ataku furii, rzuca się w tę i z powrotem, szarpie kajdanki, krzyczy i wymiotuje. Szpitalny park. Mężczyzna pośpiesznie odchodzi, kieruje się w stronę wyjścia. Korony drzew kołyszą się, zaczyna się ściemniać.

Spętany mężczyzna wyje z wytrzeszczonymi oczami, szarpie kajdanki, gryzie wargi, które krwawią. Obraz ciemnieje i cichnie.

Albert: Czy ten szaleniec jest wolny? Czy to Peter jest więźniem?

7

Arthur Brenner natychmiast uświadamia sobie, że sytuacja jest poważna, że to nie jest jedna ze zwykłych awantur. Twarz Katariny jest umęczona, płakała i wygląda na wystraszoną.

Katarina: Jak to dobrze, że przyszedłeś. Nie wiedziałam, co mam robić, ty przecież jesteś naszym jedynym przyjacielem. Może byś z nim porozmawiał. Zazwyczaj nie niepokoją mnie jego wybuchy, ale tym razem – to takie straszne. Stoi na dachu.

To prawda. Peter stoi na dachu, piętnaście pięter nad placem zabaw, na którym znajdują się huśtawki i piaskownice. Wdrapał się najpierw na barierę tarasu, a stamtąd na sam skraj dachu. Jest boso i w pidżamie.

Peter: Muszę wystraszyć Katarinę, rozumiesz. To jest absolutnie konieczne.

Brenner: Czy nie wystraszyłeś jej już dostatecznie?

Peter: Nie wiem. Naprawdę?

Brenner: Albo skoczysz, albo też zejdziesz, żebyśmy mogli porozmawiać.

Peter: Masz zawroty głowy?

Brenner: Nawet nie mogę wejść na krzesło, bo zaraz źle się czuję.

Peter: Ja też mam zawroty głowy.

Peter zaczyna się kołysać w tę i z powrotem w dziwnie mechaniczny sposób, ze wzrokiem przez cały czas utkwionym w przepaść.

Brenner: Skok jest oczywiście godny szacunku. Ale to niehumanitarne i upokarzające tak dręczyć swoich bliźnich.

Peter: Która godzina?

Brenner: W pół do szóstej. Zaraz ktoś cię zobaczy i zaalarmuje policję. Zimno ci?

Peter: Tak.

Brenner: Czy mogę przynajmniej przynieść ci kożuch?

Peter: Tak, dziękuję.

Arthur Brenner idzie do Katariny i pyta o kożuch Petera. Przynoszą go z przedpokoju; kiedy wracają, Peter jest już w salonie.

Peter: (uśmiecha się) Tak łatwo ci to nie ujdzie, Katarino!

Otula się w kożuch i siada w głębokim fotelu, rozgląda się wokół siebie. Jest to piękne mieszkanie, w którym wszędzie widać poczucie stylu i gust Katariny. Katarina klęka i pociera dłońmi zimne stopy Petera.

Peter: Czy ta dziewczyna nie jest piękna?

Stawia stopę na barku Katariny i kopniakiem odpycha ją. Katarina upada i leży skrajnie wyczerpana.

Peter: Posłuchaj, Arthurze. Jestem pewien, że obiecałeś nam koniak.

Arthur, który stoi z rękoma w kieszeniach kożucha (nie zdążył go z siebie zdjąć) potakuje roztargniony i podchodzi do baru, nalewa trzy kieliszki. Pochyla się nad Katariną.

Brenner: Usiądź przy mnie.

Katarina: Dobrze mi tu, na podłodze.

Stawia kieliszek obok siebie, przesuwa dłońmi po długich, mocnych nogach, spogląda ponuro na Petera, który pociąga głęboki łyk. Wyraźnie widać, że jest spięty. Arthur odstawia swój kieliszek na szklany stolik, zrzuca z siebie krótki sportowy kożuszek i zagłębia się w najbliższym fotelu.

Brenner: Martha serdecznie was pozdrawia.

Katarina: Wyrwaliśmy ją ze snu, biedna Martha.

Brenner: Wcale nie. Miała iść do szpitala dziecięcego na jakąś poranną operację.

Katarina: Po lunchu u mojej teściowej poszliśmy na przyjęcie. Było tam dość hałaśliwie. Potem byliśmy u Johanna i Marianne, gdzie wypiliśmy drinka. Chcieli wyjść na miasto i coś zjeść, więc poszliśmy do tej nowej włoskiej restauracji, no wiesz, tej obok teatru. Spotkaliśmy tam Hessreitera z jego panią. Nalegali, abyśmy poszli z nimi do ich mieszkania. Była już pierwsza w nocy. Ja nie chciałam, ale Peter się uparł, powiedział, że nie chce iść do domu.

Ukrywa twarz w dłoniach, gęste włosy opadają jej na czoło i odsłaniają szyję. Widać na niej głębokie, sinoczerwone nacięcie.

Brenner: Co sobie zrobiłaś w szyję?

Katarina: Drobiazg!

Peter: To naszyjnik. Rozerwał się.

Brenner: Ach tak.

Peter: Po prostu pękł. Przypadkowo chwyciłem za naszyjnik i lekko pociągnąłem. I pękł.

Brenner: Uważaj, żebyś nie dostała zakażenia.

Katarina: E tam!

Peter: Katarina chce mnie porzucić, tak mówi. A ja na to, że to byłoby świetnie, że to byłaby fantastyczna przysługa. Wtedy ona mówi, że ja nie poradzę sobie bez niej. A ja odpowiadam, że radzę sobie lepiej bez niej niż z nią. I wtedy ona mówi, że jestem impotentem. Więc ja mówię, że tylko z nią jestem impotentem. I tak dalej.

Katarina: (zmęczona) Cała awantura zaczęła się od tego, że Peter obraził mnie w restauracji. On ma fenomenalną zdolność do cienkich złośliwości. Najpierw śmialiśmy się, bo był dość zabawny, ale potem zaczął mnie przedrzeźniać, kiedy rozmawiałam przez telefon i wtedy zrobiło się to dla wszystkich żenujące, a ja zaczęłam płakać.

Peter: Katarina ma intuicyjne wyczucie, w którym momencie należy się rozplakać.

Katarina: Zaraz ci powiem, o co się pokłóciliśmy.

Peter: To będzie wielka aria!

Brenner: Zamknij się na chwilę, Peter, i pozwól Katarinie mówić. Ty już miałeś swój występ.

Katarina: Kiedy przyszliśmy do domu nad ranem, Peter był napalony i chciał się ze mną kochać. Byłam zmęczona i pomyślałam, no dobrze, byle szybko, ale Peter wyobrażał sobie coś ekstra, to miał być wielki numer, nie wiem, co go opętało, czasami po południu chadza do jakiejś tajemniczej pani, a wtedy zawsze najzabawniej jest ze starą Katariną. Znaczą się potem. Pomyślałam, że z wielkim numerem też sobie poradzę. Już wcześniej to robiłam i kiedy tylko jestem porządnie pijana, to mam nadzwyczajną cierpliwość, więc wypitałam kilka kieliszków, rozebrałam się, a on zaczął mnie posuwać, zanim zdążyłam się rozebrać, nawet się nie umyłam. Wściekłam się, ale nie nie powiedziałam, pomyślałam sobie, że skoro już jesteśmy w trakcie, to przerobimy cały program, niech już będzie, a potem będę mogła spać. Potem chciał mnie wziąć od tyłu, ale nie mógł wsadzić, prawdopodobnie był zbyt pijany i wtedy zaczęłam się śmiać i on się wściekł, zaczął na mnie krzyczeć, ale ja nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, a potem powiedziałam, że mu obciągnę, ponieważ zawsze to lubił, ale wtedy chwycił mój naszyjnik i przekręcił go tak, że niewiele brakowało, aby mnie udusił, prawdopodobnie by do tego doszło, gdyby naszyjnik nie pękł. Potem znowu się na mnie rzucił, kompletnie zwariował, ugryzł mnie w pierś, tak że zaczęła krwawić i bił mnie raz za razem po twarzy, chociaż niezbyt mocno, starałam się tylko zachować spokój i nie odzywać się, dopóki się nie wyladuje i nie zaśnie.

Peter: Katarina powiedziała mi, że ma kochanka, od tego się zaczęło. Że ten cholerny Hessreiter, z którym jedliśmy spaghetti milanese, spał z nią wielokrotnie, ostatni raz wczoraj.

Katarina: (śmieje się) Peter wiedział o tym romansie. Mówię mu wszystko. Ale Peter nigdy nie odważy się powiedzieć prawdy. On –

Peter: Ja mówię prawdę. Wszystko ci opowiadam.

Katarina: To nieprawda. Zawsze kłamiesz. Ty nie potrafisz powiedzieć prawdy.

Nagle Marco wtrąca się do tego dialogu brutalnym, porywczym głosem. Mówi do Katariny, obraz zatrzymuje się na jej twarzy, ona zwraca spojrzenie w stronę kamery.

Marco: Ty też kłamiesz. Kłamiesz, ponieważ nie potrafisz powiedzieć ostatecznej prawdy, zawsze się cofasz przed rozstrzygającym słowem. Nie mówisz Peterowi, że nienawidzisz jego beznadziejnej męskości, którą ciągle musisz się zajmować. Nienawidzisz, kiedy dotyka twoich piersi, nienawidzisz go, kiedy wreszcie wchodzi w ciebie i wtryskuje swoją breję w twoje łono. Mogłabyś rozgryźć na kawałki jego członek, kiedy wsadza ci go w usta i żąda, abys go lizala. Twoja nienawiść jest tak wielka, że cię rozsadza, ale twoja samodyscyplina jest jeszcze większa. Czasami, jeden jedyny raz twoja nienawiść wychodzi na światło dzienne i przez chwilę wulkan zieleje ogniem. Ale kiedy najgorsza presja ustępuje, poświęcasz cały dzień na wyjaśnianie Peterowi, dlaczego właśnie w tym momencie straciłaś głowę. I Peter daje się pocieszać, na pozór daje się pocieszać, ale w głębi duszy nigdy ci nie wybacza tego, że nie jesteś jego matką, tego, że skończyłaś z tą wielką zabawą w mamę, z tą grą, którą uprawiałaś przez wiele lat.

Peter: (krzyczy) Potrafię cię zadowolić. Znam sposób na Katarinę Egerman. Ma opowiedzieć, jak to się robi?

Katarina: W ciągu dziesięciu lat naszego pożycia z pewnością dałeś mi osiemset trzydzieści dwa orgazmy. Pięćset trzynaście razy udawałam, potem wychodziłam do łazienki i sama sobie radziłam. W pozostałych przypadkach miałam mizerne skurcze, to prawda, jestem strasznie wdzięczna. Peter Egerman sprawił, że poczułam się kobietą. Sprawił, że kichnęłam cipą! Biedny, cholerny Peter. Żal mi cię. Naprawdę mi cię żal.

Peter: Ona tak zawsze mówi, kiedy chce poniżyć. To jest jeden z najbardziej wyrafinowanych chwytów Katariny – rytuał poniżenia.

Katarina: Czy to naprawdę ma jakiś sens, abym ja to znosiła?

Peter: Teraz zacznij mówić o swojej lojalności.

Katarina: Już dawno temu przestała mnie zdumiewać moja lojalność.

Peter: Nie dalej jak wczoraj powiedziałaś, że twoja lojalność przeszkadza ci odejść ode mnie.

Katarina: Moja lojalność jest anomalią mojego charakteru i nie ma nic wspólnego z tobą.

Peter: Ale ja korzystam z twojej lojalności, prawda?

Katarina: Być może jestem lojalna ze względu na siebie.

Peter: Teraz, Arthurze, słyszałeś płytę o perwersyjnej lojalności Katariny. Może zabawimy naszego przyjaciela jakimś innym naszym szlagierem?

Katarina: W każdym razie pysk ci się nie zamyka. Wygląda na to, że on się boi ciszy.

Peter: W ciszy słyszeć prawdę. To znaczy słyszeć prawdę Katariny. Bo ja nie mam żadnej prawdy, jestem na wskroś zakłamany. To już tak jest, że Katarina ma dożywotni monopol na obiektywną i autentyczną prawdę o świecie. Polega to częściowo na tym, że jest kobietą i jako kobieta ma dar specjalnego instynktu ziemi i krwi, a częściowo na tym, że Katarina jest wybrana przez Boga i stworzona w szczęśliwym momencie. Chyba muszę położyć się na chwilę. Kiedy mamy być u Bauera?

Brenner: O dziesiątej. Pojadę po von Sacka, a potem po drodze zabierzemy ciebie. Zdążysz pospać przynajmniej godzinę, a potem weź gorącą kąpiel. I poczujesz się jak młody bóg.

Katarina: Mam ci pomóc?

Peter: Dziękuję. Dziękuję za uprzejmość, Katarino. Dam sobie radę sam. Dziękuję, że przyszedłeś, drogi Arthurze, jesteś prawdziwym przyjacielem. Kiedy widzę cię razem z Katariną, to nagle uświadamiam sobie, jaką bylibyście nadzwyczajną parą. Jak to Chrystus powiedział na krzyżu: matko, spójrz na swego syna! Synu, spójrz na swoją matkę!

Peter śmieje się, ale jego twarz jest wykrzywiona, oczy duże i ciemne, drżą mu usta. Katarina wstaje i wyciąga jedną rękę jakby w geście pojednania, ale on udaje, że tego nie widzi. Arthur Brenner nadal siedzi w fotelu i mruczy coś, czego nikt nie słyszy. Peter zamyka drzwi. Katarina podchodzi do okna i patrzy na rozległy widok na miasto. Jest lodowato szary poranek z zachmurzonym niebem. Ledwo słyszeć szum trasy przelotowej, wysoko nad ziemią huczy jakiś niewidoczny samolot.

Brenner: Może powinnaś zadzwonić do lekarza. Prawdopodobnie potrzeba mu jakiegoś środka uspokajającego.

Katarina: On nie chce brać lekarstw, nie chce też pójść do lekarza. Mówi, że to świat oszalał, a nie on.

Brenner: To jest bardzo popularna teoria, która wszystko usprawiedliwia.

Katarina: Czasami myślę, że on ma rację.

Brenner: Konflikty Petera z otoczeniem były nieistotne. Był on ze wszech miar dobrze przystosowanym do życia wybrańcem losu.

Katarina: A co się kryje za tą piękną maską?

Brenner: Prawdopodobnie ten sam chaos, co u większości z nas. (przeciąga się i ziewa) Nie zamierzam ronić łez nad niezrozumianym życiem duchowym Petera Egermana.

Katarina: (zmęczona) Nie, to jasne.

Brenner: Brakuje mi ciebie.

Katarina: Nie mów tak.

Brenner: Wiesz, że mi ciebie brakuje.

Katarina: Przecież Peter może podsłuchiwać.

Brenner: I co z tego?

Katarina: Na co to się zda?

Brenner: (wzdycha) Tak. Tak, tak.

Katarina: Mówisz tak dziwnie o Peterze.

Brenner: Lubię go.

Katarina: Ale traktujesz go protekcyjnie.

Brenner: Nie zastanawiałem się nad tym. Tak sądzisz?

Katarina: Człowiek, który stoi na dachu w pidżamie i nie skacze, jest śmieszny, prawda? Człowiekiem, który szaleje, miota się i płacze, trzeba gardzić. Nie za bardzo, przecież jest, jak wiadomo, przyjacielem. Ale trochę tak. Mężczyzna, który z rozpaczyny maltretuje kobietę, musi być niespełna rozumu. Powinien pójść do lekarza i wziąć coś na uspokojenie. Czyż nie tak?

Brenner: (śmieje się) Katarino!

Katarina: Prawdę mówiąc, o wiele bardziej żal mi ciebie niż Petera.

Brenner: Oczywiście. Peter ma ciebie. Ja nie mam.

Katarina: Ty jesteś taki wysportowany, opalony i jurny. Nie, nie będę cię rugać.

Brenner: Ja gram w tę grę, to jest bardzo proste. Jestem zdolnym, małym maszynistą. Maszyny mnie lubią.

Katarina: Peter też był zdolnym maszynistą.

Brenner: To prawda. Peter był zdolnym maszynistą i wszyscy byli zgodni, że daleko zajdzie. Popelnił tylko fatalną pomyłkę.

Katarina: Pomyłkę?

Brenner: Odkrył, że te maszyny są złożone z ludzkich ciał, nerwów, oczu, myśli, cierpień. I to go przerażyło. Wystraszony maszynista jest złym maszynistą.

Katarina: To nie takie proste.

Brenner: Brzydzi się manipulacjami.

Katarina: To coś jeszcze gorszego.

Brenner: Czasami stajesz się stanowczo zbyt dramatyczna, moja droga.

Katarina: (wybuch) Jest coś, co musimy traktować poważnie. Nie rozumiesz tego! Dzieje się coś groźnego, o czym nie rozmawiamy, bo brakuje nam słów. Cóż to za cholerna idylla, którą pragniemy utrzymać za wszelką cenę, mimo że się rozkłada i wszędzie czuć zgniliznę? Dlaczego nie pozwalamy tej niebezpiecznej czerni wyjść na światło dzienne? Dlaczego zatykamy wszystkie wyjścia i udajemy, że nie istnieje? Dlaczego ciągle jeszcze pokładamy nadzieję w rozmaitych czarach i politycznych cudach, chociaż słyszymy, jak narasta huk i wiemy, że katastrofa jest już blisko? Dlaczego nie rozwalimy społeczeństwa, które jest takie martwe, takie niehumanitarne, takie oszalałe, takie upokarzające i takie zatrute? Ludzie próbują krzyczeć, ale krzyżącym zatyka się usta drętą mową, eksplodują bomby, dzieci są rozrywane na strzępy, a terrorystów się karze, ale na miejscu każdego zabitego terrorysty pojawia się dziesięciu następnych. Oni są niepokonani, ponieważ są sprzymierzeni z siłą, z którą my nie doszliśmy do porozumienia, o której nie chcemy wiedzieć. A to jest Śmierć. Oni są ofiarami, takimi samymi jak ich ofiary, ofiarami jak my sami. I jak długo nie będziemy chcieli zrozumieć ich obłąkanej rzeczywistości, tak długo będziemy bezsilni wobec tej katastrofy, która przybliży się z każdym dniem, z każdą godziną...

Brenner: To, co mówisz, brzmi rozsądnie i ja szanuję twoje przekonanie, jeśli to jest twoje przekonanie, a nie tylko efekt nieprzespanej nocy.

Katarina: (zmęczona) Tego nie wiem.

Brenner: Kiedyś, kiedy sytuacja będzie mniej newralgiczna, powiem ci, jak ja widzę te problemy. (uśmiecha się) Dane wyglądają inaczej, ale wynik jest ten sam.

Katarina: (obojętnie) Wynik?

Brenner: „Katastrofa” jak ty to nazywasz. Nie, muszę iść do domu, ogolić się, wykąpać i pójść na długi spacer z moim starym jamnikiem. Żegnaj, droga Katarino. Uważaj na siebie. Czy mogę cię pocałować?

Story w sypialni są do połowy zasunięte, Peter leży w swoim łóżku, rozebrany, z zamkniętymi oczyma. Jest bardzo blady, usta ma na wpół otwarte. Katarina kładzie się obok niego na drugim łóżku. Długie milczenie.

Katarina: Śpisz?

Peter: Nie.

Katarina: Jak się czujesz?

Peter: Dobrze. Czuję się dobrze.

Katarina: Mam cię obudzić za godzinę?

Peter: Nie ma sensu spać.

Katarina: Dlaczego kłócimy się ze sobą?

Peter: Nie wiem.

Katarina: Zachowałam się jak rozhisteryzowana idiotka.

Peter: (nie odpowiada)

Katarina: O czym myślisz?

Peter: Myślę, że grasz płytę z refrenem „To była moja wina, przepraszam, kochanie”. Ten, kto pierwszy zdąży tę płytę włączyć, okaże się najbardziej wspa-
niałomyślny.

Katarina: A jeżeli ja naprawdę myślę, że zachowałam się jak rozhisteryzowana idiotka? Czy nie mam tego powiedzieć?

Peter: Nie.

Katarina: Dlaczego nie?

Peter: To zbyt proste przybiec z „przepraszam”

Katarina: Co można zrobić zamiast tego?

Peter: Nie.

Katarina: Jak chcesz.

Peter: Możesz tutaj leżeć, tylko zamknij się.

Katarina: (płacze)

Peter: Przestać lamentować.

Katarina: Tak.

Peter: To nie nie da.

Katarina: Chciałeś się zabić?

Peter: Chciałem tylko zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Katarina: Nie możemy ze sobą porozmawiać?

Peter: Nie.

Katarina: Czy nie możemy nawet spróbować?

Peter: Próbowaliśmy sto tysięcy razy. Przy następnym konflikcie używamy jako broni tego, co powiedzieliśmy sobie w miłosnym zaufaniu.

Katarina: Pamiętasz, jak było na początku naszego małżeństwa? Tak się staraliśmy.

Peter: Mieliliśmy kapitał – kapitał miłości, jeśli tak można powiedzieć. Wszystko roztrwoniliśmy i nie zdobyliśmy nic nowego. Wiesz dlaczego? Zaakceptowaliśmy reguły gry, nie mając zdolności do tej gry. No i zostaliśmy oszukani. Czy wiesz, co mnie przeraża najbardziej ze wszystkiego? To, że nie będę mógł iść do pracy, nie będę mógł przeczytać mojej gazety, nie będę mógł jeść o ustalonych porach. Że cierpię na bezsenność, że mam obstrukcję, że samochód się psuje, że się rozchoruję, że rozboli mnie ząb. Wiem, że każdy bezład zagraża mojej z wielkim trudem skleconej wewnętrznej dyscyplinie, mojemu całemu starannie obmyślonemu systemowi bezpieczeństwa.

Katarina: To nie tak, Peter.

Peter: Tak, tak.

Katarina: Gdyby było tak, jak mówisz, to byś nie pił.

Peter: Piję, aby zdobyć się na odwagę zdeorganizowania tego systemu.

Katarina: Co ci to da?

Peter: Wysadzę Petera w powietrze. Tego porządnego drobnomieszcza. Tego usłużnego syna wielkiej artystki. Tego poślacanego pupilka. Tego ustępliwego męża.

Katarina: I co pozostanie?

Peter: Coś w rodzaju mielonki z krwi, nerwów i wspomnień.

Katarina: I to byłoby coś lepszego?

Peter: Ja w każdym razie byłbym bardziej podobny do tego świata, który mnie otacza.

Siedziba rządu to podłużny, nieco ponury betonowy klocek, otoczony wysokim ogrodzeniem. Kilka minut przed dziesiątą największy mercedes LudwigsWerke wjeżdża przez bramę w stronę głównego wejścia. Peter, który siedzi obok szofera, wysiada pierwszy, jest blady, ale opanowany, nie widać po nim żadnych śladów burzliwej nocy. Jest z gołą głową, ma w ręce dyplomatkę i pali papierosa. Z tylnego siedzenia samochodu (drzwi przytrzymuje szofer w ciemnej liberii) wysiada Arthur Brenner, dyrektor naczelny LudwigsWerke, i baron Wieland von Sack, prezes zarządu. Wchodzą szybko po schodach, mijają szerokie szklane drzwi i wchodzą do westybulu. Jakiś funkcjonariusz natychmiast opuszcza swoje stanowisko i odprowadza trzech panów do windy, która szybko i bezszelestnie unosi ich na trzecie piętro. Krótki korytarz prowadzi do wygodnego salonu z jasnym wystrojem i miękkimi dywanami. Funkcjonariusz spieszy do pokoju w głębi, gdzie sekretarka zostaje poinformowana o nadejściu trzech panów. Natychmiast przekazuje tę wiadomość przez wewnętrzny telefon. Funkcjonariusz prosi trzech prominentów o zajęcie miejsc i z ukłonem odchodzi.

Brenner: (do von Sacka) Ty zaczynasz. (do Petera) A pan, panie Egerman, bądźcie tak uprzejmy i zrobi trochę notatek. Mam na myśli, jeśli to zrobi się skomplikowane.

Peter: Oczywiście.

von Sack: Ale jak daleko możemy się posunąć?

Brenner: (uśmiecha się uprzejmie) To naprawdę nie jest twoje zmartwienie.

von Sack: Ale przecież powinienem wiedzieć?

Brenner: To zależy od tego, co dostaniemy, poza tym nie wiemy...

Brenner milknie i wstaje. Dieter Laubner, podsekretarz stanu Bauera (bardzo młody człowiek ze starannie uczesaną blond fryzurą i wodnistymi oczyma) z serdecznym uśmiechem wychodzi na spotkanie trzem panom.

Laubner: Witajcie, moi panowie. Dawno się nie widzieliśmy. (wymienia uściski dłoni z von Sackiem, Brennerem i Peterem)

Peter: Cześć, Laubner, jak tam tenis?

Laubner: Zajmę się nim, bądź tego pewien.

Brenner: Mówiło się, że złamał pan nogę.

Laubner: Nie, tylko naderwałem mięsień.

Peter: A co słysząc w domu?

Laubner: Znakomicie. Właśnie się przeprowadziliśmy. Zresztą Elsa wybiera się popołudniu na pokaz mody Katariny.

Wchodzą do wyraźnie bezoosobowego gabinetu Bauera. On wychodzi im naprzeciw, ściska im dłonie.

Laubner: Proponuję, abyśmy usiedli tam. Czy ktoś życzy sobie coś do picia? Może później? Papierosy? Cygara?

Częstują się. Atmosfera jest życzliwa, ale napięta.

von Sack: To bardzo uprzejme z pana strony, że znalazł pan czas, aby nas przyjąć. Szczerze mówiąc, nie czujemy się zbyt mile widziani w Bonn. Tutaj mówi się teraz innym językiem. To nie jest ten język, dzięki któremu po wojnie nasz kraj rozwinął się.

Bauer: (potakuje i uśmiecha się)

von Sack: A to jednak z nas się żyje. Jak by to było bez żywotnego przemysłu? Jak by sfinansowano te wszystkie wielkie reformy!

Bauer: (potakuje z aprobatą i uśmiecha się)

von Sack: To, co jest dobre dla kolegów z Bonn, niekoniecznie musi być dobre dla nas.

Bauer: Trzydzieści dwa piętnaście dwadzieścia siedem. Pięć.

von Sack: Naturalnie. Do rzeczy! Te dwa zakłady, które powinny być wybudowane przez LudwigsWerke, kosztują razem siedem i pół miliarda. Wszyscy wiemy, że są one potrzebne gospodarce całego kraju, poza tym dają zatrudnienie około czteremnaście tysięcy ludzi w ciągu przeciętnie pięciu lat. Dokładniej ośmiu tysiącom w LudwigsWerke, dodatkowo kilku tysiącom w tym regionie, reszta w pozostałym kraju. Zysk brutto obliczono na około miliarda, może nieco więcej, zysk netto oczywiście znacznie niższy, zaledwie pięćdziesiąt milionów. W ubiegłym roku LudwigsWerke miał zysku pięćset pięćdziesiąt milionów. Odliczając wkład pokrycia, ryzykujemy więc stratę netto na przeszło czterysta milionów w ciągu pięciu lat, dokładniej sto milionów rocznie. Przy tych założeniach...

Godzinę później; teraz na stole pojawiły się butelki z wodą mineralną, popielniczki zaczęły się napełniać. Dyrektor naczelny i podsekretarz stanu Laubner zdjęli marynarki, Peter otworzył swoją dyplomatkę i wyciągnął dokument, który wszyscy studiują, oprócz doktora Bauera, który siedzi wygodnie rozparty w swoim fotelu. Ostrożnie pali cygaro. Von Sack ukrywa narastającą ocieężałość za domniemanym studiowaniem jakiegoś skoroszytu zawierającego wykresy i tabele. Jednocześnie pociąga z kieliszka wytrawną sherry.

Laubner: Ośmuset metalowców w Münzdorf?

Brenner: Damy radę.

Laubner: Skąd?

Brenner: W najgorszym razie weźmiemy ich z Jugosławii.

Laubner: A mieszkania?

Brenner robi gest w stronę Petera, który patrzy w swojej papiery. Przez dłuższą chwilę z nieobecnym wyrazem twarzy wpatrywał się w okazałą czaszkę premiera.

Peter: (szybko) Przepraszam. W Münzdorf mamy mieszkania dla trzystu pięćdziesięciu ludzi. Planujemy nowy dom dla dwustu. Będzie gotów najpóźniej za rok. Na początek baraki dla czterystu pięćdziesięciu, po roku dla dwustu pięćdziesięciu.

Laubner: Czy Münzdorf da sobie radę z dwustoma mieszkaniami?

Brenner: To my je zbudujemy.

Na kilka sekund zapada milczenie. Wszyscy zastanawiają się nad danymi, napięcie wzrosło. Laubner wymienia wymowne spojrzenie z premierem, który pośpiesznie sięga po dokument i gorliwie go studiuje. Dieter Laubner starannie zapala fajkę, przechyla się do tyłu na krześle. Peter znowu przygląda się czaszce doktora Bauera.

Laubner: Więc od strony technicznej wszystko gra. (pauza) Technicznie wszystko gra, prawda? Ale to nie jest problem techniczny. (pali; pauza) To jest problem polityczny. (pauza) Prawda, moi panowie?

Brenner: To dlatego tu jesteśmy.

Laubner: Tutaj opinia jest tak samo niezmiennie negatywna, jak i w całym pozostałym kraju.

Brenner: (nieco arogancko) A cóż to jest ta tak zwana opinia? Garstka publicystów. Ludzie na ogół nic nie wiedzą o naszym zaopatrzeniu w energię.

Laubner: Nie należy lekceważyć mass mediów. Nasz przyjaciel Schwartz jest kanałą. Jeśli będzie postępował tak jak do tej pory, to narazimy na szwank naszą większość.

Brenner: To takie niebezpieczne?

Laubner: Jak najbardziej.

Brenner: Nie wydaje mi się.

Laubner: Schwartz i jego gazeta już wyrządzili wielką szkodę. Jesteśmy wystarczająco zaniepokojeni.

von Sack: Ale Schwartz ma kłopoty.

Bauer: (gwałtownie) Piętnaście? Trzydzieści pięć osiem?

von Sack: Rozrastał się zbyt szybko.

Laubner: Co wiadomo o tej sprawie?

von Sack: (uśmiechnięty) Zasiadam w zarządzie jego banku. Sama gazeta ma się znakomicie, tutaj nie ma żadnej wątpliwości. Ale magazyny idą w diabły. Ponadto budowa nowych obiektów wyniosła trzydzieści milionów drożej niż obliczano. Udzielił mi wielkiej pożyczki. Ostatnio był zmuszony oddać w zastaw akcje.

Laubner: A gdyby tę pożyczkę cofnąć?

von Sack: To niemożliwe. Bank nie może wydawać gazety.

Premier pochyła się i umieszcza z największą ostrożnością cygaro na brzegu popielniczki. Właśnie zgasło.

Brenner: Tak więc ze względu na miejscową opinię nie możemy działać niezależnie od rządu.

Bauer: (potakuje) Piętnaście. Trzy. Siedem!

Brenner: Uważa pan zatem, że Schwartz i jego gazeta mają decydujące znaczenie dla nastawienia opinii publicznej w kwestiach energii. Czy właściwie pana zrozumiałem, doktorze Bauer?

Bauer: (potakuje) Osiemnaście.

Brenner: Ale gdyby dziennik Schwartz'a zmienił kurs, to...

Laubner: ...to wtedy oczywiście nasze wątpliwości na temat pańskiego projektu zmniejszyłyby się bardzo znacznie.

Brenner: I wasza większość byłaby zapewniona.

Laubner: Co powinno leżeć w interesie gospodarki. Prawda, moi panowie?

Pół godziny później panowie Egerman, Brenner i von Sack ponownie siedzą w okazałym mercedesie, z tą różnicą, że Peter przeniósł się z miejsca obok szofera na opuszczone siedzenie z tyłu. Atmosfera jest powściągliwie wesoła.

Brenner: Jak wysoka jest pożyczka Schwartz'a w banku?

von Sack: W sumie przeszło osiemdziesiąt milionów.

Brenner: I można ją cofnąć w trybie natychmiastowym?

von Sack: Nie wszystko, ale przeszło pięćdziesiąt milionów. Problem w tym, że nie mamy żadnego powodu. Bank nie może, jak zaznaczyłem, wydawać gazety. Zrobiłby się z tego cholerny hałas. On sam miałby znacznie większe możliwości uporania się ze swoimi kłopotami niż my. Pieprzę tę firmę. (do Petera) Znajdziesz wydawnictwo, które możemy kupić. Nie za duże. Ale też nie za małe.

Peter: Co masz na myśli?

Brenner: Kilka milionów powinno wystarczyć. Chętnie nadpłacimy. Potem przelejemy przeszło osiemdziesiąt milionów z LudwigsWerke do naszego zakupionego wydawnictwa, wykupimy od banku pożyczkę Schwartz'a i przejmujemy akcje jego gazety. Na dobrą sprawę LudwigsWerke nie musi ujawniać się w tym interesie. Mamy na przykład...

von Sack: (poruszony) Ale osiemdziesiąt milionów.

Brenner: (arogancko) To mniej niż dziesięć procent tego, co uzyskamy z tych dwóch zakładów.

von Sack: (niepewnie) Tak, ale...

Brenner: Jak smakuje, to kosztuje. Kiedy bank może cofnąć pożyczkę?

von Sack: Zebranie zarządu mamy w czwartek. Przepraszam, że zapytam. Jakich argumentów mam...

Brenner: (ucina) Czy LudwigsWerke nie jest większym klientem? A przede wszystkim bardziej solidnym! (do Petera) Załatw wydawnictwo. Zapłać, ile się da. Podwójnie w stosunku do wartości, jeśli uznasz to za konieczne. Zamelduj w ciągu tygodnia. Teraz nie mamy czasu.

von Sack: A co będzie potem?

Brenner: To bardzo proste. Większość akcji w gazecie Schwartz przechodzi do naszej podstawionej firmy. Schwartz zostanie zwolniony. Nasz nowy przyjaciel, doktor Bauer, zawetuje nowe restrykcyjne prawo rządu dotyczące energii atomowej. Potem możemy budować nasze reaktory. Sądzę, że mamy powód, aby popierać doktora Bauera. To rozsądny facet, sprawia wrażenie, że można na nim polegać. Ludzie wierzą w to, co mówi, nawet kiedy kłamie. To jest niezbędny dar u polityka.

Duży samochód ostrożnie przebija się przez gorączkowy ruch uliczny w południe. Wyrzało słońce i z dachów kapie woda, zapowiadając wiosnę. Peter nagle przeprasza i wysiada. Mówi, że przyjdzie do biura za godzinę, wzywa taksówkę i podaje adres. Po krótkiej jeździe jest na miejscu.

Występy następują po sobie przy akompaniamencie ogłuszającego hałasu. Małe kabiny są zapelnione widzami, przy kasie biletowej powstała mała kolejka. W barze pełno ludzi, którzy jedzą kanapki i piją piwo. Suchy skwar drży w barwnym świetle. Peter rozmawia cicho z portierem przy zamkniętych drzwiach. Do jego czujnej dłoni wciska banknot.

Właśnie pojawiły się dziewczęta z drugiej zmiany. Charakteryzatorki są zajęte. W saloniku hałasuje telewizor. Niektóre jedzą obiad albo rozmawiają, przekrzykując panującą wrzawę. Jakiś pies szczeka. Dwóch hydraulików pracuje wiertarką w toalecie.

Ka właśnie zbiera się wyjścia. Stoi przy tablicy ogłoszeń z niedbale upiętymi włosami, bez makijażu, ubrana w zbyt eleganckie futro. Jedna z występujących dziewcząt właśnie wybiega ze sceny, parska śmiechem, od jej prawego pantofla w trakcie numeru odpadł obcas. Dziewczyna, która stoi w pogotowiu, aby ją zmienić, nieomal zapomina o swoim *entrée* i wybucha wielkim śmiechem. Ka woła do którejś z dziewcząt wewnątrz charakteryzatorki i pyta, czy kupi coś do domu. Kupi.

Peter: Czy mogę z tobą przez chwilę porozmawiać?

Ka: Wróć wieczorem.

Peter: Nie mogę.

Ka: Teraz w każdym razie nie mam czasu.

Peter: To jest ważne dla ciebie.

Ka: No?

Peter: Nie możemy tutaj stać i rozmawiać.

Ka: To chodźmy na piwo niedaleko stąd.

Peter: Nie da rady.

Ka: Ach tak.

Peter: (ostro) Śpieszę się.

Ka: Proszę hardzo. (wola) Susy!

Susy: Co jest?

Ka: Mogę pożyczyć sobie twój pokój na jakieś pół godziny?

Susy: Jest nieposprzątane.

Ka: Nie szkodzi.

Susy podnosi klucz i rzuca go przez przejście do Ka, która go łapie. Wchodzą do małej, pozbawionej okien nory, w której nie ma mebli, jest tylko szeroki powleczonej materac na podłodze. Jest tam, jak powiedziano, nieposprzątane. Ka pośpiesznie ściąga futro i siada na materacu, zapala papierosa. Jest w złym humorze. Peter nadal stoi.

Peter: Teraz uważnie posłuchaj.

Ka: Siadaj.

Peter: Nie.

Katarina: No, co to takiego ważnego?

Peter: Kupiłem akcje.

Ka: Ach tak.

Peter: Dla ciebie.

Ka: Dla mnie? Po co?

Peter: Dla ciebie. Kupiłem dziesięć tysięcy akcji w LudwigsWerke. Zaliczka wynosiła dwieście tysięcy. Łączna wartość to dwa miliony trzysta sześćdziesiąt tysięcy, które należy zapłacić za dwa tygodnie.

Ka: Zwariowałeś?

Peter: Te akcje ciągle spadały. Wyobrażam sobie, że wzrosną w ciągu najbliższych dziesięciu dni o jakieś dwadzieścia, trzydzieści procent. Wtedy sprzedasz te akcje. Zarobisz przeszło pół miliona.

Szuka w kieszeniach i znajduje kartkę papieru, spogląda na nią i podaje ją Ka.

Ka: Co to jest?

Peter: To jest adres i numer telefonu do dobrego przyjaciela. On otrzymał wszystkie instrukcje i zajmuje się tą operacją. Jest całkowicie godny zaufania. Teraz muszę iść.

Sklania głowę. I wychodzi.

Peter wychodzi z cienia bramy. Stoi w łagodnym, przyjemnym świetle słonecznym i rozgląda się wkoło. Ruch samochodowy dudni nad ulicami, gdzieś gra

orkiestra dęta, gania się kilkoro dzieci, przebranych i pomalowanych. Peter zapala papierosa i stoi. Jego twarz jest teraz całkowicie spokojna, odprężona, nie ma na niej ani śladu nocnych przeżyć, silnej goryczy, nienawiści, strachu. Uśmiecha się do siebie, z pewnością odczuwa ogromną ulgę.

Marco: (głos) Czuje intensywną ulgę. Wszystko jest oczywiste, postanowione. W tym samym momencie znika udręka, strach przed decyzją. Może nawet odczuwać radość. Po raz pierwszy od wielu lat jego więzienie stoi otworem i może przeżywać tę chwilę: światło słoneczne, zapach wiosny, nurt rzeki, muzyka z oddali, bawiące się dzieci, ruch uliczny, który huczy wokół niego.

Anna zatrzymuje stół montażowy, zapala się lampa. Dzisiaj jest sama. Albert jeszcze nie przyszedł. Obraz Petera zastygł na rozświetlonym ekranie. Anna ogląda go z nagłym wzburzeniem.

Anna: (do siebie) Jaką ja byłam idiotką.

Wyłącza główny kontakt, pośpiesznie wstaje, niecierpliwymi ruchami czesze włosy, zdejmuje kitel, zabiera z szafy wierzchnią odzież, przegląda popołudniówkę, gdzie jest anons z adresem i numerem telefonu. Uwija się w poszukiwaniu rękawiczek, torebki i kluczyków od samochodu. W drzwiach spotyka Alberta.

Albert: Coś się stało?

Anna: Pojadę do Marco.

Albert: Wiesz, gdzie on jest?

Anna: Chyba tak.

Albert: Jesteś pewna?

Anna: Nie. Ale sądzę, że jest w burdelu z tego filmu.

Albert: (potrząsa głową) Nie, tam go nie ma.

Anna: (ukrywa twarz w dłoniach) W każdym razie jadę. Dokądkolwiek!

Albert: Co będzie z naszym małym przyjęciem? Zapomniałaś o nim?

Anna: Tak.

Albert: (smutno) Topsy przygotowała cały obiad zaręczynowy. Sola Walewska.

Anna: Przepuść mnie.

Albert: Tak. (smutno) Tak, oczywiście.

Anna: Będę tutaj jutro rano punktualnie.

Albert: Tak.

Albert Kummer wciąga oddech, jakby go gdzieś tam bolało. Anna odchodzi korytarzem na zewnątrz montażowni. Dwie dziewczyny w białych fartuchach palące papierosy i mały piesek obserwują ich.

Albert: Anno!

Anna: (odwraca się) Tak?

Albert: Dostaniesz adres.

Biegnie za nią w dół po schodach. Obie dziewczyny uważają teraz, że to wszystko naprawdę robi się interesujące. Z pokoju montażowego słychać staroświecką muzykę taneczną zmieszaną z miłosnymi replikami. Albert wyciąga swój notatnik, pisze adres, wrywa kartkę i podaje Annie. Ona bierze ją bez oglądania. Zbiega po schodach i wychodzi na parking, zapuszcza silnik swojego małego samochodu.

Albert usiadł na schodach. Kapelusz położył obok siebie. Dziewczęta w białych fartuchach nagle ogarnia zażenowanie, wabią ohydny psa i znikają rozchichotane w jednej z montażowni. W korytarzu rozbrzmiewa staroświeckie tango.

Albert: Sola Walewska!

Adres prowadzi Annę do eleganckiej dzielnicy na obrzeżach miasta. Nowe trzy-piętrowe domy kryją się wśród drzew. Poniżej tarasów płynie rzeka. Anna naciska klawisz domofonu i musi długo czekać. Mówi, że ma telegram. I stoi przed drzwiami, które po chwili uchylają się, łańcuch nie pozwala zajrzeć do środka.

Anna: Chcę rozmawiać z Marco Hoffinannem.

Głos: Tutaj go nie ma.

Anna: Nazywam się Anna Bergman. Chyba może go pan zapytać, czy chce ze mną rozmawiać.

Głos: Tutaj go nie ma, przecież mówię.

Anna: Proszę mi pomóc. Ja naprawdę koniecznie muszę z nim porozmawiać.

Drzwi zamykają się. Anna nadal stoi. Ktoś porusza się w środku, Anna słyszy pospieszne kroki, ktoś coś mówi. Za zamkniętymi drzwiami zalega cisza. Nagle Anna wścieka się. Naciska dzwonek i krzyczy podniesionym głosem, że chce porozmawiać z Marco. Nie nie pomaga. Słucha: jest cicho. Dom sprawia wrażenie wymarłego, niezamieszkanego. Nie może zdobyć się na odejście stamtąd, stoi z opuszczonymi rękoma i suchymi, palącymi oczami. Potem słychać kroki, łańcuch zostaje zdjęty i drzwi się otwierają. Niewysoki mężczyzna o bladej twarzy, wysokim czole, dużych niebieskich oczach, wąskich zaciętych ustach i ufarbowanych blond włosach patrzy na nią z melancholijnym niedowierzaniem. Jest ubrany w rozpiętą, jasną, jedwabną koszulę i czarne obcisłe spodnie.

Tim: Narobiła pani strasznego halasu.

W twardych trzewiakach na dość wysokim obcasie drepce przed Anną w stronę dużego, jasnego pokoju przeladowanego meblami, lampami, obrazami, dywanami i precjozami. Na długiej sofie siedzi Marco i ogląda mecz piłkarski w telewizji. Wydaje się zadbany, ma na sobie krótką kurtkę z miękkiej skóry, jasną koszulę tego samego kroju, jaką nosi Tim i dżinsy. Jest boso. Na widok Anny uśmiecha się uprzejmie i wyciąga rękę.

Ona ją bierze, a on pociąga ją ku sobie na sofę. Wówczas – kiedy jest blisko niego – odkrywa zmianę: zgaśnięte spojrzenie, obwisłą i szarą skórę, uśmiech, który już nie jest uśmiechem, lecz grymasem warg i zębów.

Anna: Przykro mi, że tak wtargnęłam tutaj, ale musiałam cię zobaczyć i porozmawiać z tobą.

Marco: Mamy wiele do omówienia.

Anna: Tak, owszem.

Marco: (z uśmiechem) Zarówno prywatnie, jak i zawodowo.

Anna: (szczęśliwa) Chyba można tak powiedzieć.

Marco: Ja tylko trochę wypoczywałem. (do Tima) Może czymś ugościmy?

Anna: Nie, dziękuję, niczego nie chcę. Być może później. To Albert dał mi adres.

Marco: Słusznie postąpił. Po ukończeniu zdjęć byłem bardzo zmęczony. Było przecież tyle awantur. Oczywiście najczęściej była to moja wina. (patrzy na Annę) Albert napisał i opowiedział, że ty i on przerabialiście ten materiał przez wiele miesięcy. Jak to wygląda?

Anna: (niepewnie) Nie wiem, Marco. Mamy wiele wątpliwości. To znaczy, ja mam wątpliwości.

Marco: Ale poszczególne sceny?

Anna: Nie wiem, jakie są twoje intencje w tym filmie.

Marco: Masz na myśli to, że jest trudny do zrozumienia?

Anna: (smutno) Tak. Mniej więcej. Jest trudny.

Marco: (uśmiecha się) Więc chyba możemy ten film ukończyć.

Anna: (niepewna, szczęśliwa) Naprawdę chcesz?

Marco: A co myślisz? Byłem tylko taki zmęczony. Teraz czuję się o wiele lepiej. Zaopiekował się mną Tim. Jest fantastyczny. Czy to nie godne pozazdrośczenia, że jestem otoczony tak wspaniałymi przyjaciółmi?

Jego twarz coraz bardziej szarzeje i napina się, oczy tracą spojrzenie, oblizuje wyschnięte wargi.

Anna: Nie czujesz się dobrze, Marco?

Marco: Czuję się znakomicie. Jestem tylko trochę senny. Powiedzmy, że zobaczymy się...

Powstrzymuje się, zamyka oczy i sprawia wrażenie nieobecnego, skóra na czole mu bieleje, przeciąga po policzkach wypielęgowanymi dłońmi.

Tim: On musi pospać, panno Bergman.

Marco: Odpocznę tylko kilka minut. Zobaczymy się w niedzielę, Anno. Zobaczymy się w montażowni, będę tam punktualnie o pierwszej. Dopilnuj, abys miała całość materiału.

Anna: (szczęśliwa, zaniepokojona) Tak, Marco. Będę miała cały materiał. Każdą klatkę twojego filmu.

Tim ostrożnie pomaga mu położyć się i przykrywa miękkim kocem. Potem daje znak Annie, że powinni opuścić pokój. Zasuwa story. Kiedy Anna wychodzi do przedpokoju razem z Timem, już dłużej nie może opanować swojego wzburzenia.

Tim: Dlaczego pani płacze, panno Bergman?

Anna: Nie wiem. Jestem bardzo zadowolona, że Marco do nas wróci.

Tim: Postaram się, aby był punktualnie.

Anna: Dziękuję, to miło z pana strony. Przepraszam, że płaczę.

Tim: Nic nie szkodzi, panno Bergman. To ładnie wygląda.

8

Charlotte lubi przebywać w swojej sypialni, jest tam odpowiednie światło, przyjemne zapachy, wygodne krzesła, niezawodne łóżko małżeńskie, miękkie dywany i ogień trzaskający w kominku. Obok sklepionego okna stoi jej biurko ze wszystkimi fotografiami, na lewo może patrzeć na duży obraz olejny przedstawiający ją jako aktorkę w jednej z jej popisowych ról. W niskiej, ale szerokiej niszy (nieomal dodatkowy pokój) stoi jej toaletka z lustrami i kunsztowną mozaiką.

Charlotte właśnie przebrała się na galowe przedstawienie w Teatrze Narodowym. Jest łagodne wiosenne popołudnie i słońce rzuca ruchliwe cienie i światła na jasne story, iskrzy się w pryzmatach kryształowego żyrandola i mimochodem dotyka policzka starszej pani. Ma ona na sobie kosztowną suknię w stylu empire, która doskonale podkreśla jej młodzieńczą figurę. Głęboki dekolot przysłonięty cienkim welonem pozwala domyślać się kształtnego biustu, o którym wiele się mówiło w całej Europie, kiedy już w 1938 roku występowała z odkrytymi wdziękami jako płocha żona kościelnego w dramacie Valle-Inclána *Divinas palabras*. Do tego prostego, ciemno połyskującego stroju nie nosi żadnej biżuterii, jedynie obrączkę ślubną. Gęste lśniące włosy są upięte w kunsztowny węzeł.

Teraz siedzi już w pełni przebrana przy biurku i czeka na swojego syna Petera, który obiecał zawieźć ją do teatru. Jej młoda sekretarka Judith krząta się z lekkością i w mileczeniu.

Ścieli duże łóżko (aktorka ucieła sobie małą drzemkę po lunchu). Ariel-Valentin jest tam również. Siedzi przy podstarzałym, pięknym odmalowanym klawesynie, właśnie zagrał długą frazę z sonaty Scarlattiiego.

Charlotte: Napisałam list do mojego drogiego przyjaciela, szefa Residenztheater. Poprosiłam go, aby zajął się pańską edukacją sceniczną.

Valentin: Jestem głęboko wdzięczny.

Charlotte: Poprosiłam także Judith, aby możliwie jak najlepiej uporządkowała mieszkanie. Ona mówi, że chce panu pomóc w zdobyciu mebli i sprzętu domowego.

Valentin: To zbyt kłopotliwe.

Judith: To żaden kłopot, Valentinie. Mamy tak wielu dawnych wielbicieli, którzy będą szczęśliwi, jeśli tylko stworzy im się możliwość przysłużenia się pani Egerman.

Valentin: Będę rozpieszczany.

Charlotte: Czy to nie zabawne rozpieszczać młodego, pięknego mężczyznę, Judith? Zgódź się ze mną, że to czysta przyjemność.

Judith podchodzi do tego rozpieszczonego młodego mężczyzny i ciągnie go za uszy nieskrępowanym, czułym gestem.

Valentin: Judith powiedziała, że chce wyjść za mnie.

Judith: Myślę z przerażeniem o tych wszystkich złych i pozbawionych charakteru kobietach, które uganiają się za tym chłopcem. Jestem gotowa się poświęcić, aby uratować go dla sztuki.

Całuje go w usta. Charlotte spogląda na swoją rękę, wprowadza ją w krąg słonecznego światła. Pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym widzi wśród cieni przy drzwiach Conrada. Starsza pani uśmiecha się do siebie.

Charlotte: Perfekcja. Poczułam, przez krótką chwilę, że teraz jest tutaj perfekcja. Kilka razy przeżyłam perfekcję poza sceną. Ponadto kilka razy była mi дарowana w moim zawodzie. Nie potrafię opisać radości, z jaką wtedy odczuwałam bliskość absoulutu. Można by chyba wyobrażać sobie, że pragnienie perfekcji powinno być bolesne, kiedy przeżyło się ją choć jeden raz. Tak nie jest. Radość pozostaje niczym echo, tajemniczy blask. To wielka łaska. Całe to cierpienie, na jakie naraża nas rzeczywistość, nie może ugasić tej radości.

Siedzi w milczeniu przez dłuższą chwilę i mruży prawe oko, dłoń zwija na kształt lornetki, aby zobaczyć, czy Conrad nadal stoi tam w cieniu. Nie stoi.

Charlotte: Pragnę, aby każde z was zapamiętało sobie ten dzień. Z czasów dzieciństwa nie zachowałam żadnych osobliwości ani kosztowności, ale tylko parę zabawek. Tutaj, Valentinie. Jeśli weźmiesz do ręki to małe pudełko i spojrzysz w soczewkę, to zobaczysz teatrzyk. Jeśli naciśniesz guzik, to podniesie się kurtyna. Tą małą korbką możesz wysuwać różne dekoracje i aktorów.

Valentin wyciąga ręce, podnosi pudełko na wysokość twarzy, kieruje je w stronę okna: dramatyczne sceny, zaczarowany krajobraz, dziwne komnaty, tajemnicze chwile.

Charlotte: To jest dla ciebie, moja Judith.

Aktorka ostrożnie otwiera małe etui pokryte wytartym aksamitem. Leży w nim cienki pierścionek z maleńkim diamentem. Jest to pierścionek na dziecięcą dłoń.

Charlotte: Ten pierścionek był moją pierwszą biżuterią. Dostałam go od mojego ojca, gdy miałam pięć lat i chorowałam na odrę. Podniósł pierścionek do światła i powiedział, że jest on zaczarowany, że to pierścionek przynoszący szczęście. Ten mały kamień lśnił i iskrzył się. On żył! Nie musi mi pani dziękować. To nie są jakieś niezwykle dary. Która godzina?

Judith: Niedługo wpół do trzeciej.

Charlotte: A o której zaczyna się przedstawienie?

Judith: Punktualnie o trzeciej. Inżynier Ekerman z pewnością łada moment przyjdzie. *A propos*, czy mam zarządzić, aby po teatrze coś podano?

Charlotte: Nie, dziękuję. *Don Giovanni* to długi i wyczerpujący wieczór. Po powrocie do domu zjem tylko mój wieczorny bulion i wypiję kieliszek wina.

Judith: Poproszę pannę Sommer, aby wstawiła tacę.

Charlotte: Dziękuję, znakomicie.

Judith: Może zostanie?

Charlotte: Wykluczone. Jest moim stanowczym życzeniem, aby Judith i Valentin świętowali ten dzień możliwie jak najlepiej.

Nagle poważnieje i daje im znak, aby do niej podeszli. Wstaje i całuje ich, najpierw Valentina, a potem Judith. I już jest Peter Egerman.

Niepostrzeżenie zajął miejsce Conrada przy drzwiach.

Peter: Jesteś naprawdę piękna.

Charlotte: Twoja stara mama nadal uważa, że to zabawne przebrać się.

Bierze jego twarz w dłonie, pośpiesznie gładzi go po włosach.

Charlotte: Coś się stało, Peterze?

Peter: W nocy zrobiło się trochę późno.

Charlotte: Zmieniłeś się na twarzy.

Peter: (uśmiecha się) Mam nadzieję, że zmieniłem się na lepsze. (uśmiecha się) Chodź, mam, naprawdę musimy się pośpieszyć. Nie wypada, żebyśmy pojawili się z hałasem, później od premiera i całego rządu.

Don Giovanni. Finał pierwszego aktu. Scena ukazuje salę balową w pałacu. Na zewnątrz szaleje burza, migocą świetlne płomienie, błyskawice przecinają ciemności parku. Zły omen i wściekłość. Wszyscy zwrócili się w stronę don Juana i Leporello.

*Trema, trema, scellerato,
Sapr tosto il mondo interno
il misfatto orrendo e nero
La tua fiera crudelt!*

A don Juan usprawiedliwia się lękliwie:

*E confusa la mia testa,
e un'orribile tempesta
minacciando, oh Dio, mi va!*

W końcu chwyta Leporello za ramię, wyciąga szpadę, toruje sobie drogę w stronę drzwi wejściowych i burzy. Kurtyna opada. Owacje.

Po opadnięciu kurtyny Peter Egerman natychmiast wstał i pośpiesznie wyszedł do wyłożonej parkietem sali królewskiej pełnej luster, kryształów i gipsów. Popołudniowe słońce wrzuca płonące oszczepy przez wysokie okna. Jest wiosenny wieczór.

Na rynku ludzie spacerują w powolnym tempie. Gra zespół instrumentalny. W bocznych ulicach słychać odgłosy ruchu samochodowego.

Owacje opadły i publiczność wylewa się z oświetlonych sal. Jest święto, wszyscy są odświętnie ubrani. Peter z miłym uśmiechem pozdrawia przyjaciół i znajomych.

Pojawia się Katarina w błyszczącej, głęboko wydekoltowanej sukni, z ciężką, prymitywną biżuterią na rękach i szyi. Trzyma pod rękę matkę Petera. Prowadzą ożywioną rozmowę, wesoło machają do Petera, który odwzajemnia ich uśmiechy. Pyta, czy nie chciałyby się czegoś napić. Odpowiadają, że chętnie. Peter przebija się w stronę baru, spotyka von Sacka i Brennera z żonami, wymieniają ukłony i wylewne osady. Nieco dalej stoi łagodny i zgarbiony profesor Hessreiter, rozmawia z młodą, egzaltowaną pięknością, wszędzie są przyjaciele, koledzy z pracy, znajomi, persony. Święto ciągle trwa, światło słoneczne powoli przygasa, zabarwia wszystko na kolor złota, panuje atmosfera zabawy, wspaniałe wyczyny sceniczne ożywiły zmysły.

Premier ubrany w nienaganny smoking, postawny, serdeczny, nadechodzi z żoną i synem. Dostrzega Petera i wychodzi mu naprzeciw. Peter odstawia kieliszek na bufet, wyrwa się z tumultu śmiejących się, rozmawiających i pijących twarzy; wyzwała się. Premier wita go z uśmiechem, podając mu dużą dłoń. Peter wyciąga z kieszeni pistolet i kieruje go w głowę Siegfrieda Bauera.

W tym samym momencie słychać strzał. Przez bardzo krótką chwilę Peter widzi zdumienie na twarzy premiera, widzi rozbiegających się ludzi, słyszy krzyki. W ułamku sekundy widzi dwunastoletniego Wolfganga, syna premiera, z pistoletem w ręce i z wyrazem zimnego podniecenia na twarzy.

Potem ten świat rozrywa się na strzępy, ciemne skrzydła powiewają przed jego oczyma. Peter pada głową do przodu na parkiet.

Anna zatrzymuje stół montażowy i odwraca się. Do pokoju wszedł Marco i stoi w ciemności. Nagle ogarnia go wesołość, ale natychmiast opanowuje się.

Anna: Więc jednak przyszedłeś!

Marco: Przecież obiecałem.

Anna: Jesteś za wcześnie. Jeszcze nie zaczęłam czekać.

Marco: Rozmawiałaś z Albertem Kummerem?

Anna: Był zadowolony. Licz się z tym, że przyjdzie.

Marco: Naturalnie.

Anna: (ze łzami w oczach) Więc jesteś tutaj.

Zdejmuje taśmę magnetyczną z dźwiękiem i szpulę z taśmą filmową, kładzie je do pudełka, nie może powstrzymać łez, płacze w milczeniu. Jej ruchy są jednak szybkie i kontrolowane.

Anna: Ja nie płaczę. Nie myśl, że płaczę.

Odwraca się gwałtownie w jego stronę, obejmuje go i przytula się do niego, próbuje opanować potok łez, ale jej się to nie udaje, zaczyna się śmiać. Marco mocno ją trzyma jedną ręką, a drugą ciągnie za włosy.

Marco: Nie patrz tak na mnie.

Anna: Nie, przepraszam. Nie będę patrzyła na ciebie. Nie będę się cieszyła, że tu jesteś, nie będę cię całowała, dlatego że cię kocham. Nie będę cię trzymała, bo chcę cię mieć nadal. Nie będę pytała, jak się czujesz, albo dowiadywała się się, czy jesteś udręczony, czy chcesz żyć, czy chcesz odebrać sobie życie. To jest trudne, Marco, ale ciebie nie nie obchodzi.

Marco delikatnie wyzwała się z objęcia Anny. Podchodzi do półek z niezliczonymi pudełkami taśmy, wskazuje palcem na numer i oznaczenia.

Anna: (oponowuje się) Czy chcesz coś obejrzeć?

Marco: Możemy przecież zacząć tam, gdzie skończyłaś.

Anna przez chwilę szuka wzdłuż półki, wyjmując film i ścieżkę dźwiękową, zakłada.

Anna: Pracowałam z tym materiałem przez trzynaście miesięcy. Teraz musisz mi pomóc!

Marco: (łagodnie) Jasne, że ci pomogę.

Anna: Żeby tylko mogła od czasu do czasu cię zapytać.

Marco: Myślisz, że mogłabyś się postarać o coś do jedzenia dla mnie? Na wypadek gdybyśmy mieli pracować całe popołudnie.

Anna: Stołówka jest zamknięta, bo jest sobota, ale na rogu jest mała restauracja. (zadowolona) Przyniosę coś dobrego, to zjemy razem.

Marco: Byłoby miło.

Anna: Za kilka minut wracam.

Nagle śmieje się, jest zadowolona i pełna ufności, lekko pieści go po policzku. Nakłada kurtkę na biały fartuch i rusza pędem.

Anna: (w drzwiach) Nie uciekniesz, kiedy mnie nie będzie?

Marco: Nie zapomnij o butelce wina. Musimy to uczcić!

Anna: (zadowolona) Jasne, że uczymy.

Pędzi po schodach w dół. Marco słyszy jej szybkie kroki i uderzenie drzwi wejściowych. Stoi przez chwilę nieruchomo, potem wolno podchodzi do stołu montażowego, uruchamia go. Marco spogląda na wszystko z nieznacznym uśmiechem. Potem koncentruje się, otwiera drzwi, przynosi kanister na benzynę, zaczyna wylewać jego zawartość na podłogę, ściany, stół montażowy i półki. Kiedy kanister jest pusty, wycofuje się do drzwi i wrzuca kilka płonących zapalek do wnętrza pokoju. Powstaje gwałtowna eksplozja i podmuch pożaru odrzuca go do tyłu. Stół montażowy nadal chrzęści i wysyła pieśń oraz muzykę, ale wkrótce zagłusza go huk płomieni.

Niezliczone pudełka otwierają się z powodu żaru, szpule z taśmą filmową wpadają w ogień, zachowują się jak żywe stworzenia, wirują niczym ogniste koła, wykonują gwałtowne podskoki, niektóre unoszą się od wewnątrz niczym

piramidy, inne latają pomiędzy ścianami jakby owładnięte tajemniczymi siłami, zanim zapadną się w huczącym morzu ognia. Stół montażowy zatrzymuje się. Płomienie sięgają obrazów, które rozpadają się, taśma dźwięku topi się na swoim talerzu, pęka okno i ciężka zasłona wygląda jak płonąca chorągiew w silnym przeciągu.

Anna usłyszała eksplozję, biegnie przez pokryty śniegiem trawnik, wkrótce cały dom stoi w płomieniach. Albert Kummer zatrzymał się w oddali. Krzyczy do niej, aby wracała, że wszystko lada moment wyleci w powietrze. Teraz słychać alarm, ze wszystkich stron rozlega się ryk syren, panuje wielki rejdach.

Potem następuje silny wybuch i dach odlatuje od budynku, jego krótsza ściana zawala się. Ktoś ciągnie Annę do tyłu, trzyma ją mocno za ramię. To Marco. Mówi coś do niej, śmieje się, znowu coś mówi, ale ona nie słyszy, alarm jest ogłuszający. Anna jest wściekła, uderza Marco w twarz, krzyczy na niego, on broni się ze śmiechem. Albert Kummer biegnie przez głęboki śnieg, chwytając ich, trzyma mocno i próbuje objąć. Marco rzuca się do tyłu i przewraca się, ciągle się śmieje, obok przejeżdża z warkotem wóz strażacki przy akompaniamencie wściekłego wycia.

Marco: (do Alberta) Teraz w każdym razie dostaniesz ubezpieczenie!

Potem oddala się, znika niczym mała, czarna, pędząca kropka na tle szerokiego, białego pola. Albert Kummer stoi po kolana w śniegu, krew cieknie mu z nosa i trzyma Annę mocnym chwytem.

Albert: (woła) Poczekaj, Marco. Stój!

Anna trzyma okulary Alberta i stara się okładem ze śniegu zatrzymać krwawienie z jego nosa.

Albert: (woła) Marco, wracaj. Zrobimy inny film.

Anna: (szaleje) Nigdy mu tego nie wybaczę.

W tym momencie dom wylatuje w powietrze. Dłuższa ściana zapada się w dym i ogień. Albert i Anna rzucają się do ucieczki, gnani wściekłym żarem. Stopniowo opanowują się, odwracają i obserwują to wspaniałe widowisko.

Monachium, 4 marca 1978

PRZEŁOŻYŁ TADEUSZ SZCZEPAŃSKI